

Część I

VII

Pierwsza wizyta

[...]

- Bywałem w Łazienkach właśnie w porach, gdy cały piękny świat warszawski tam się przechadzał. Widziałem mnóstwo ślicznych dam, ale ani jednej tak pięknej, jakie w tych stronach widzieć można.

#

Spojrzał wymownie na Wincunią Wincunią || TygM1869/34: Wincunię i dodał, skłaniając głowę:

- Nie ma jak Litwinki! uchylam przed nimi czoło! Nie darmo Mickiewicz napisał o Wilii i naszych kobietach: „Piękna Litwinka, co jej czerpie wody, czystsze ma serce, piękniejsze jagody” Niedokładny cytat Pieśni z Konrada Wallenroda. Tekst oryginalny: „Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,/ Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody” (Adam Mickiewicz, Konrad Wallenrod, Lipsk 1858, s. 21). Musiał wyrachować zręczny młodzieniec, że tą cytata zatrze niekorzystne dla siebie wrażenie, jakie wywrzeć mogło na Wincuni nietrafne jego odezwanie się o Karpińskim Jest także to stwierdzenie narracji, ponieważ wcześniej nie było o tym mowy. Nie wiadomo, na czym miała polegała gafa Aleksandra; poeta Franciszek Karpiński pojawił się na słynnych czwartkowych przyjęciach u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, chociaż nie należał do ich bywalców. i czwartkowych obiadach Nietrafne jest także to stwierdzenie narracji, ponieważ wcześniej nie było o tym mowy. Nie wiadomo, na czym miała polegała gafa Aleksandra; poeta Franciszek Karpiński pojawił się na słynnych czwartkowych przyjęciach u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, chociaż nie należał do ich bywalców..

Gdyby zaś kto w owych stronach pisał kronikę miejscową, wiedziałby niezawodnie, że wiersz ten znajomy mu był i powstał w jego pamięci dlatego, że powabna pani Karliczowa śpiewała go często przy fortepianie, a Aleksander słuchał zawsze jej śpiewu, romantycznie wsparty o fortepian i powtarzając: „Jaka to prawda!...”. Pewnego zaś razu, podobno kiedy pani Karliczowa wstała od instrumentu, zapytał ją: „Proszę pani, kto też to ułożył tę ładną piosenkę?”. - „Naturalnie, że Mickiewicz - odpowiedziała ze śmiechem piękna wdówka - jaki też z pana nieuk! Możnaż o tak prostej nie wiedzieć rzeczy!” - i uderzyła go wachlarzem po rękę. - „Zgadzam się na tę nazwę, byleby ona nie pozbawiła mię łaski pani!” - odpowiedział z galanterią lew parafialny.

Bądź co bądź, cytata wiersza Mickiewicza młodzieniec dopiął swego celu, Wincunia musiała odzy

#

skąć dobre mniemanie o jego literackim wykształceniu.

- Byłeś pan zapewne na Wystawie obrazów? - spytał po chwili Bolesław.

- Byłem, byłem - odparł Aleksander - jakżebym mógł nie widzieć tak pięknej rzeczy? ja, panie dobrodzieju, szczególnie kocham się w malarstwie

- Więc musiałeś pan widzieć świeżo wystawiony w zeszłym roku obraz Suchodolskiego? ma być bardzo piękny.

- A, obraz Suchodolskiego! widziałem, widziałem; ale nic w nim nie ma tak bardzo szczególnego!

I znowu nie wiedział, o czym mówi.

- Utrzymują, że Suchodolski celuje w malowaniu koni, czy pan w istocie to znalazłeś? znalazłeś? || TygM1869/34: znalazłeś.

- O, tak, panie dobrodzieju, celuje w malowaniu koni, prześliczne konie! Ale à propos koni, byłem w teatrze na Tułaczu i wystawcie sobie państwo, że tam na scenę wprowadzają konia!

- Na scenę konia! - zawołała pani Niemeńska.

- Konia - potwierdził Aleksander - wielkiego, białego, a na nim wjeżdżają Róża i Blanka Nie wiadomo, czy Aleksander świadomie nie dopowiada finału ich losu, czy to znowu przejaw jego niewiedzy lub niepamięci. , te, co to państwo... w Żydzie tułaczu...

- Tego to szczerze zazdroścę panu, że widziałeś teatr warszawski teatr warszawski || TygM1869/34: teatr warszawskie literówka w pierwodruku może sugerować, że mogło też chodzić o teatru warszawskie - ozwał się Bolesław - pewno

#

byłeś pan na sławnym dramacie Z. Nie udało się zidentyfikować kryptonimu (autora lub tytułu sztuki); może chodzi o Zemstę Aleksandra Fredry, od roku 1845 stale obecną w repertuarach teatrów warszawskich. , który z takim powodzeniem był dawany zeszłego lata?

- Byłem panie; ale co tam dramat! wierz mi pan, że nie ma przyjemniejszego widowiska jak balet. Jest prawdziwie co widzieć, prześliczne dekoracje jedne wyobrażają lasy, inne góry, inne jeszcze pałace i ogrody z bijącymi fontannami, a wśród tego wszystkiego baletnice jak roje motylów latają w powietrzu, w powiewnych różnokolorowych sukniach, zbiegają się, rozbiegają, splatają się w wieńce, a potem jedna z nich wybiega na środek, cała w kwiaty ubrana, i tańczy, zda się, że nie dotyka ziemi, a cały teatr drży od oklasków. Ja bym zgodził się połowę życia przesiedzieć na balecie! Balet był popularną i niewybredną rozrywką bon vivantów i rosyjskich wojskowych; jak wspominała Orzeszkowa, dla młodych dziewczyn w latach 50. było to „coś bardzo pięknego, feerycznego i grzesznego” (zob. Kalendarium 1, s. 43). Upodobanie Aleksandra do baletu, podobnie jak cała rozmowa, świadczy o pospolitych gustach estetycznych bohatera i zdradza hedonistyczne, zmysłowe skłonności jego natury.

- A z drugą połową co byś pan zrobił? - spytał Bolesław, uśmiechając się z zapału młodzieńca do baletu.

- Przepędziłbym ją w Niemence - odparł śmiało Aleksander, skłaniając nisko głowę przed damami.

Pani Niemeńska i Bolesław zaśmieli się, ale Wincunia spłoszyła.

- Bądź co bądź - odezwał się Topolski - choć pan tak chwaliśz balet, a ja na nim nigdy nie byłem, wyobrażam sobie jednak, że najulubieńszym dla mnie widowiskiem teatralnym byłby dramat albo dobra komedia, taka np. jak są Fredry.

#

- A, komedie Fredry! byłem, byłem na niej! właśnie dawano Żydów Określenie sztuki mianem „komedii” jest kolejną wpadką niedouczonego bohatera Orzeszkowej. Żydzi - wbrew zwyczajowym wyobrażeniom publiczności, oczekującej humorystycznej satyry na Izraelitów - okazali się dramatem poważnym i pozbawionym happyendu, będącym gorzkim rozrachunkiem z wadami społeczeństwa polskiego, potępieniem arystokracji, dorobkiewiczów i oszustów; tym ostatnim zostaje przypisane tytułowe, stereotypowo negatywne miano „Żydów”, podczas gdy postaci z prawdziwego środowiska żydowskiego ukazane są z neutralnym obiektywizmem lub sympatią....

- Panie łaskawy - przerwał żartobliwie Bolesław - nie odbieraj też pan Korzeniowskiemu jednego z najpiękniejszych listków jego autorskiej korony, boć on to napisał Żydów.

Żydów. || TygM1869/34: Żydów... - Prawda! omyliłem się! to była komedia Korzeniowskiego Określenie sztuki mianem „komedii” jest kolejną wpadką niedouczonego bohatera Orzeszkowej. Żydzi - wbrew zwyczajowym wyobrażeniom publiczności, oczekującej humorystycznej satyry na Izraelitów - okazali się dramatem poważnym i pozbawionym happyendu, będącym gorzkim rozrachunkiem z wadami społeczeństwa polskiego, potępieniem arystokracji, dorobkiewiczów i oszustów; tym ostatnim zostaje przypisane tytułowe, stereotypowo negatywne miano „Żydów”, podczas gdy postaci z prawdziwego środowiska żydowskiego ukazane są z neutralnym obiektywizmem lub sympatią.! - zawołał Aleksander, uderzając się w czoło, spojrzenie jednak jego z wyrazem lekkiej urazy upadło na twarz Bolesława.

- Powiedz mi pan dobrodziej - rzekł z ironią - czy nie posiadasz wypadkiem tego bajecznego kobierca, który ludzi nosił w mgnieniu oka po różnych stronach świata i równie prędko odnosił ich na miejsce stałego pobytu, a także tej czapki niewidimki, w której człowiek mógł wszędzie bywać niewidzialnym? - Daję panu słowo, że ich nie posiadam, inaczej przysłużyłbym się panu kobiercem, abyś mógł co dzień bywać na balecie w Warszawie i wracać na wieczór do Adampola! - ze śmiechem odpowiedział Bolesław - ale skąd panu przyszło mieć mię za czarnoksiężnika? - Bo nie pojmuję, jak pan możesz, nigdy nie będąc w Warszawie, tak dokładnie wiedzieć o wszystkim, co się tam dzieje. - Więc sądziłeś pan, że potajemnie odbywam podróż na cudownym kobiercu i w czapce niewidimce! - zawołał Bolesław, śmiejąc się jeszcze mocniej. - Nie, kochany panie! kobiercem owym jest dla mnie gazeta, a czapką niewidimką mój pokój sypialny, w którym co wieczór, po skończeniu gospodarskich zajęć, zamykam się i czytam. - Widzisz pan - dodał poważniej - odkąd wynaleziono druk i urządzono w kraju poczty, i my wieśniacy możemy, nie podróżując, wiedzieć, co się na dalekim świecie dzieje, ku przyjemności serca i pożytkowi umysłów naszych. Podano herbatę i rozmowa przybrała inny obrót, zwracając się ku sprawom i wiadomościom miejscowym. Bolesław upatrzył chwilę, w której pani Niemeńska opowiadała Aleksandrowi o swoich sąsiedzkich stosunkach, a on zdawał się słuchać jej = z uwagą, i zbliżył się do Wincuni: - Co pani jest dzisiaj? - spytał półgłosem - jesteś blada i jakby smutna! Dziewczę podniosło na niego spojrzenie w istocie smutne i zamglone. - Nic mi nie jest - szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem, a oczy jej spoczęły na twarzy Bolesława z taką dobrocią serdeczną, z takim nieokreślonym żalem, że aż pobladł trochę. Patrzył w jej twarz przez chwilę z miłością, z którą złączyła się ojcowska nieledwie troskliwość. - Spodziewam się - wyrzekł cicho - że gdybyś była cierpiącą albo miała jaki powód do smutku, powiedziałaś mi o tym, nieprawdaż? Wincunia spuściła oczy i nie odpowiedziała; Bolesław rzekł znowu: - Wszak pani wiesz o tym, że twój uśmiech to moje słońce; gdy jego braknie na twojej twarzy, mnie światła braknie. = Nic więc dziwnego, że smutek pani przeraża mnie i do pytań skłania. - Ja nie jestem smutna - odrzekła Wincunia nieco z przymusem - panu się tylko tak zdaje! - i jakby dla potwierdzenia słów swych, zaśmiała się głośno, ale w śmiechu jej zadrgała fałszywa nuta. Aleksander, słuchając opowiadań pani Niemeńskiej, z ukosa spoglądał na cicho rozmawiającą z sobą parę narzeczonych, rumienił się chwilami i brwi mu lekko drgały. Gdy tylko pani Niemeńska mówić przestała, zwrócił się do Wincuni i rzekł: - Widziałem tu w przyległym pokoju fortepian; zapewne pani grywa; czy można prosić?... - O, ja tak niewiele gram! - tłumaczyła się Wincunia. Pani Niemeńska głos zabrała: - Ale ja od pani Siankowskiej słyszałam, że pan bardzo ładnie śpiewasz. Niechże pan będzie łaskaw i sprawi nam tę przyjemność... - Prawdziwie pani - wymawiał się Aleksander - nie jestem dziś przy głosie i choć brałem lekcje śpiewu w Warszawie, nie wiem, czy uda mi się dziś cokolwiek dobrze zaśpiewać! - Pan brałeś lekcje w Warszawie! więc tym bardziej prosimy pana... - Doprawdy nie wiem... - protestował jeszcze młodzieniec i patrzył na Wincunię. = - Niech pan zaśpiewa cokolwiek - ozwała się Wincunia z nieśmiałością i nie podnosząc oczu. - Niech się stanie wola pań! - rzekł, powstając natychmiast Aleksander. - Ce que femme veut, Dieu le veut - dodał przesadną francuszczyzną. Ostatnie słowa były także korzyścią, odniesioną ze znajomości z panią Karliczową. Wypowiadając je, nie troszczył się, czy będzie zrozumianym przez kogokolwiek z obecnych. Przeszli wszyscy do przyległego pokoju, dobrze oświetlonego palącą się na stole lampą. Aleksander usiadł przy fortepianie, odrzucił włosy i uderzył kilka akordów, potem pięknym i czystym w istocie, choć wcale nieuczonym głosem, zaśpiewał powszechnie znaną piosenkę: „Serce, serce, skąd to bicie?”. Z początku śpiewał z przesadą i wznosił w górę oczy, ale potem zwrócił je na Wincunię, = stojącą nieopodal i nie spuszczać z niej wzroku, odśpiewał ostatnią zwrotkę: I na tej to pajęczynie, Która się tak wątłą zda, Ach, udało się dziewczynie, Że mię w swojej mocy ma! Przesada, z jaką był

zaczął śpiewać, zniknęła i słowa te odśpiewał z mocą, uczuciem i nawet rodzajem pewnego porywu i zapału, którym odpowiadał wyraz oczu, utkwionych w twarzy Wincuni. Nic tak silnie i głęboko nie wnika w serce młodej, niedoświadczonej a wrażliwej dziewczyny jak piękny śpiew mężczyzny, choćby nieozdobiony umiejętnością i wyrobieniem, byleby dźwięczny, czysty i gorący. Każdy ton tego śpiewu wpływa do jej piersi z iskierką uczucia, która się w nim zawiera. Iskra łączy się z iskrą i wszystkie razem tworzą żar; mężczyzna przestaje śpiewać, = a w piersi dziewczyny pieśń brzmi jeszcze, brzmi ciągle, a dźwięki te wewnętrzne wypływają przez oczy blaskami, przez lica rumieńcem. Stoi wzruszona, choć wzruszenie to skryć usiłuje i gotowa zaśpiewać duet, jeśli nie z dwóch głosów, to z dwóch serc złożony. Nazajutrz rano, ocknąwszy się ze swych snów dziewczyczych, pójdzie ona obejrzyć swoje kwiaty, stanie między nimi zadumana, a usta jej, zwilżone kroplą rosy, która na nie upadła, mimowoli zanucą wczoraj słyszaną piosenkę, wraz z tonami rozbudzą się w jej piersi iskry wczorajsze, a żal, z pieśnią zmieszany, = wybuchnie płomieniem miłości, którą poczuje, a o której długo może jeszcze nie będzie wiedziała. Kiedy Aleksander skończył śpiewać, Wincunia stała oparta ręką o poręcz krzesła, z pochyloną głową i bladą twarzą. Pani Niemeńska po wielu podziękowaniach i pochwałach, które jedna wygłaszała, poczęła dopytywać się u Bolesława o proboszcza i znajomych, których u niego widziała. Aleksander zbliżył się do Wincuni: - Pora mi jechać - rzekł dobywając piękny złoty zegarek, brzęczący mnóstwem breloków - a Bóg widzi, że mi się nie chce stąd odjeżdżać! Zdaje mi się, że zostałem nagle przeniesiony do raj! - Bardzo jestem rada, że się panu podobało w Niemence - odrzekło dziewczę, podnosząc oczy. - Wierz mi pani - rzekł młodzieniec cicho i wzruszonym głosem - wierz mi pani, że chwile, które tu przepędziłem, uważam za najszczęśliwsze w moim życiu. Ale czuję, że po nich nastąpi dla mnie wielki smutek i wielka tęsknota... To rzekłszy, szybko odwrócił się, jakby chcąc ukryć przed Wincunią zbyt wielkie wzruszenie. Po chwili zaczął żegnać panią Niemeńską, która niezmiernie serdecznie i uprzejmie zapraszała go, aby jak najczęściej bywał w Niemence. Po oddaleniu się Aleksandra, pani Niemeńska wyszła wnet z pokoju dla jakiejś gospodarskiej sprawy, a Bolesław, jako prawie domowy, przez grzeczność towarzyszył gościowi aż na ganek. Gdy bryczka odjeżdżającego zaturkotała już w bramie, Bolesław wrócił do pokoju i znalazł Wincunią = stojącą na tym samym miejscu, na którym = ją, wychodząc, zostawił. Stała jak skamieniała, z rękoma obwisłymi, z oczyma = utkwionymi w ziemię; tak była zamyślona czy zamarzona, że nawet nie słyszała, jak Bolesław zbliżył się do niej. Wziął jej obie ręce. - Wincuniu - rzekł, patrząc w jej twarz - powiedz mi teraz, co tobie jest? Już nikt obcy nie posłyszysz. - Nic mi nie jest - odpowiedziała, uwalniając z wolna ręce z uścisku narzeczonego - głowa mię trochę boli - dodała - pójdę do siebie. Dobranoc panu. - Ja kto? idziesz już do swego pokoju? tak wcześnie. Sądziłem, że dziś jeszcze poczytamy razem trochę, bo przywoziłem ciekawą książkę od proboszcza. - Nie mogę dziś czytać... pójdę już - odrzekła cicho Wincunia i odchodziła z wolna, a Bolesław patrzył na nią zdziwiony, zasmucony. Nagle zwróciła się i podeszła prędko do narzeczonego, podała mu rękę i szepnęła: - Panie Bolesławie, pan nie gniewasz się na mnie, nieprawdaż? - Ja? gniewać się na ciebie? - zawołał Bolesław, obejmując ją i przyciskając do piersi - mój ty aniele drogi, za cóż ja miałbym gniewać się na ciebie! Wincunia podniosła głowę i patrzyła na niego łagodnie i z dziwnym jakimś żalem. Dwie łzy błysnęły na jej rzęsach. - Jesteś taki dobry... dobry - szepnęła - ja tobie tyle jestem winna! ty byłeś mi ojcem, bratem, opiekunem... Wszystko, co mam, mam przez ciebie, wszystko, co umiem, przez ciebie umiem... Och, jaka ja niewdzięczna!... Łzy spadały z rzęs i spływały po twarzy. - Wincuniu, co ci jest? - zawołał Bolesław, tuląc ją mocniej do siebie - skąd ci te przypomnienia? = te wyrzuty sobie czynione? Ty słaba być musisz? Jesteś blada, ręce masz gorące, drżysz cała! Boże mój! gdybym też już prędzej mógł być mężem twoim, czuwać nad tobą w każdej chwili i taką cię otoczyć opieką i miłością, aby żadna chmurka nie zasmuciła ci czoła, żadna smutna myśl nie tknęła serca. Przy ostatnich wyrazach Bolesława Wincunia zdrząła całym ciałem. - Ty jesteś słaba, moja jedyna - rzekł, patrząc na nią Bolesław - idź, połóż się; jutro pewno ci lepiej będzie! Poszła powoli, milcząc, on szedł obok niej aż do drzwi jej pokoju, potem pocałował obie jej ręce i rzekł z powagą: - Niech cię smutne myśli nie dręczą, jeśli je masz jakie. Pamiętaj o tym, że blisko ciebie jest człowiek, który kocha cię prawdziwie i po męsku, więcej niż samego siebie..., który = strzeże cię i gotów bronić w każdej chwili. Idź i śpij spokojnie, moje dziecko, a niech cię jutro zobaczę zdrową i wesolutką. 12 Wyraz: moje dziecko Bolesław wymówił = z takim prawdziwie ojcowskim uczuciem, iż zdawało się, że w istocie do tego młodego dziewczęcia, co przed nim stało, miał jakieś prawa ojcowstwa. Tak, on czuł się, i słusznie, ojcem = jej duszy! Drzwi zamknęły się za Wincunią, = Bolesław odszedł. W bawialnym pokoju spotkał się z panią Niemeńską. - Czy pani nie wiesz, co się dziś stało Wincuni? - spytał z niepokojem - blada, milcząca i parę razy łzy miała w oczach. - Ja sama uważałam, że ona dziś była nieswoja - odparła ciotka - zaraz po powrocie zaczęła się skarżyć na ból głowy, a cały wieczór siedziała jak niema, co jej się przecie nigdy nie zdarza! Żeby to tylko nie był początek choroby jakiej, broń Boże! - Gorączki panują w okolicy... - szepnęła Bolesław, przesuając dłoń po nagle zbladłym czole. - Jeżeli by Wincuni było gorzej w nocy lub jutro z rana - rzekł do pani Niemeńskiej - nie tracąc ani chwili czasu, przysyłaj pani do mnie, a pojedę natychmiast sam po doktora. Dam w domu rozporządzenie, aby konie przez całą noc stały w stajni ubrane i gotowe do drogi. - Pożegnał panią Niemeńską i wyszedł, po kilka razy powtórzywszy prośbę, aby w razie zasłabnięcia jego narzeczonej natychmiast mu o tym oznajmiła. W pół godziny potem cisza zupełna panowała w Niemence, wszyscy spali we dworku i wszystkie światła pogasły, tylko w oknie pokoiku Wincuni długo w noc błyszczało światło.

#Południe zbliżało się, we dworze adampolskim i na otaczających go polach ruch był od kilku godzin wielki; oboje państwo Jerzowie od dawna krzątali się koło gospodarstwa, a Aleksander siedział jeszcze w swoim pokoju przed lusterkiem, głęboko pograżony w wykończaniu szczegółów swej toalety. Po wczorajszej bytności w Niemence spał długo i w snach musiał snadź ciągle widzieć Wincunią Wincunią, || TygM1869/36: Wincunię, bo podkreślając przed zwierciadłem zwierciadłem || TygM1869/36: zwierciadłem jasny wąsik, przyglądając włosy, cichutko wymówił jej imię z pół figlarnym, pół radosnym radosnym || TygM1869/36: radosnym

uśmiechem. Był bardzo zamyślony, chwilami zdawał się zupełnie zapominać o niedokończonej toalecie, machinalnie patrzył na twarz swą odbitą w lusterku i to uśmiechając się, to jakby w wewnętrznym namyśle pokręcając głową, motał sobie coś coś || TygM1869/36: coś ciągle i motał na pieszczony wąsik.

Nagle brzęknęły w pokoju klucze i młody czło

#

wiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ją w rękę. ODMIANY: Nagle brzęknęły w pokoju klucze i młody człowiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ją w rękę. || TygM1869/36: Nagle brzęknęły w pokoju klucze i młody człowiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule jej rękę. || TZWP/4: Nagle brzęknęły w pokoju klucze i wiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Odwrócił się i pocałował czule ją w rękę. KONIEKTURY I EMENDACJE: Nagle brzęknęły w pokoju klucze i młody człowiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. || TZWP/4: Nagle brzęknęły w pokoju klucze i wiek ujrzał stojącą za sobą panią Snopińską. Brakujące fragmenty zdania wprowadzono za TygM1869/36.

- Dobrze, że mama przyszła - rzekł - mam z mamą do pomówienia.

- Cóż takiego, Olutku? - spytała Snopińska, siadając naprzeciw syna.

- Myślę żenić się - odpowiedział krótko bez wszelkich preliminariów.

Snopińska klasnęła rękoma rękoma || TygM1869/36: rękami , 368 pół z przestraczem, pół z radością.

- Z kimże, moje dziecko? - zawołała.

- Z Wincunią Niemeńską.

- Ależ ona już zaręczona, Olutku.

- W tym i sęk, moja mamó. Że ona mną trochę już zajęta, jestem tego pewny; no, naturalnie, że i ja ją kocham, bo bez miłości pewnie bym się nie żenił; ale ponieważ jest zaręczoną, ma skrupuły, i o to idzie, aby o nich zapomniała. Bo też Bogiem a prawdą nie warto, żeby takie śliczne stworzenie robiło z siebie ofiarę dla takiego szlachciury jak ten Topolski.

- Już to pewno, mój Olutku - rzekła po chwili namysłu Snopińska - że ty do niej daleko lepiej pasujesz niż niż || TygM1869/36: jak Topolski. Patrzałam na was, jak przeszłej niedzieli szliście razem z kościoła przez cmentarz, i myślałam sobie właśnie, że śliczna i dobrana z was para, i nie tylko ja tak myślałam, ale i inni to mówili.

#

Aleksander z zadowoleniem pokręcił wąsika; Snopińska mówiła dalej:

- Przy tym panna Niemeńska to wcale niezła partia, ma swój folwark i, jak mówią, pięknie zagospodarzony. Tę część, która należy do jej ciotki, ojciec odkupiłby dla ciebie i jestem pewna, że nic by przeciw temu małżeństwu nie miał. Ale jakże zrobisz, żeby zrekurowała narzeczonego?

- O tym właśnie chciałem pomówić z mamą, trzeba, abyśmy wydali bal.

- Bal? - zawołała Snopińska, składając ręce - Jezus, Maria! a to na co?

- Trzeba, abyśmy wydali bal - powtórzył Aleksander z powagą - ale to bal, co się zowie. Zrobi to na niej wrażenie. Ja szepnę jej do uszka, że zabawa ta na jej cześć urządzona, blask i gwar odurzą TygM1869/36: odrodzą ją i olśnią, w tańcu rozmarzy się, jak to zwykle z panienkami bywa, ja tymczasem oświadczę się i rękę mamie, że wyjedzie stąd tak rozkochana, iż jak na drugi dzień pojedzie do Niemenki, przyrzecze mi, a Topolskiego zrekurowuje.

- Jakie to w tej twojej głowie pomysły! - rzekła zachwycona synem Snopińska. - Może i masz rację TygM1869/36: rację , ale jakże to będzie? Ja nigdy balu nie wydawałam; i prawdę rzekłszy, nigdy nawet na żadnym nie byłam; nie mam więc ani wyobrażenia TygM1869/36: ani więc mam wyobrażenia , jak to tam na balu być powinno.

- Niech już mama o nic się nie turbuje, ja sam

#

wszystko biorę na siebie. Kucharzy i lokajów najmę tych, którzy mieszkają w rezydencji hrabiny na wypadek jej przyjazdu; oświetleniem domu i przyjęciem gości sam zarządzę. Przecież znam się na tym, bo nie na jednym balu byłem, i u pani Karliczowej, i gdzieindziej.

Snopińska zamyśliła się i machinalnie brząkała kluczami.

- Ależ moje dziecko - rzekła po chwili - to będzie strasznie wiele kosztować!

- Czyż mamcia żałuje pieniędzy dla mego szczęścia? - rzekł Aleksander pół żałośnie, pół pieszczotliwie.

- Już to wiadomo, że ja dla twego szczęścia to bym i sama w ogień wskoczyła, ale widzisz, Olutku, co ojciec...

- Ojciec! - podchwycił Aleksander - z nim będzie trochę trudna sprawa. No, ale jak my z mamą uweźmiemy się oboje, to wszystko dobrze pójdzie. Ja wiem, że ojciec chce, abym ożenił się; otóż powiem mu, że jeżeli nie z Wincunią, to nigdy z nikim nie ożenię się, a co nawet i niezupełnie skłamię, bo ta dziewczyna tak mi wlała w głowę, że ją tylko widzę we śnie i na jawie. Na koniec i to nasunę ojcu na uwagę, że przecież wezmę niezły posag.

- A niezły, niezły - powtórzyła matka - słychać, że ten Topolski tak pięknie urządził Niemenkę

#

, że daje ona tyle dochodu co Adampol, choć pięć razy większy...

- Ot, widzi mama! a jak ja wezmę Niemenkę, to pewno daleko lepiej jeszcze potrafię ją urządzić niż Topolski, bo ożeniwszy się i do gospodarstwa wezmę się nie na żarty.

- Dobrze, dobrze, mój Olutku, trzeba dziś będzie o tym wszystkim pomówić z ojcem. Ale kiedyż to ten bal być powinien? ODMIANY: powinien? || TygM1869/36: powinien! || TZWP/4: powinien! KONIEKTURY I EMENDACJE: Ale kiedyż to ten bal być powinien? || TZWP/4: Ale kiedyż to ten bal być powinien! Wykrzyknik zastąpiono znakiem zapytania za P/11, Pz/3 i Npr, uznając, że wymaga tego logika wypowiedzi.

#I

#

Niedaleko brzegów Niemna, w żyznej i leśnej okolicy, położone były obszerne dobra hrabiny X. Bogata pani od dawna mieszkała za granicą lub w wielkich miastach krajowych, a majątki swe oddawała w dzierżawę zamożnej sąsiedniej szlachcie.

W jednym z majątków tych, Adampolu, mieszkał dzierżawca pan Jerzy Snopiński.

Obszerny dwór adampolski, z domem nieokazałym, ale wygodnym, z mocno postawionymi i starannie utrzymanymi budowlami, widniał z daleka pomiędzy wieńcem gęsto sadzonych topoli włoskich. Wysoki parkan z desek, gładko wyheblowanych i porządnie spojonych, obejmował dziedziniec i ogrody, prze

#

dzielając je z rozległymi łąkami, które rozciągały się daleko, aż pod stopy lasu, tworzącego wąski i ciemny zarys między sklepieniem nieba a krańcem gładkiej i szerokiej równiny.

Jednego 3 z ciepłych i słonecznych dni kwietnia, około południa, drogą między polami wiodącą do dworu toczyła się z wolną parą koni zaprzężona bryczka. Na niej siedział niemłody mężczyzna, z mocno szpakowatymi włosami i wąsami, z pogodnym spojrzeniem szarych oczu, ocienionych gęstą siwiejącą brwią, z postacią krzepką i dobrze zbudowaną, lubo nieco pochyloną przez wiek, a może i przeniesione trudy życia. Owinięty był szarym sukienym płaszczem, a na głowie miał czapkę oszytą siwym barankiem.

Wkoło pola zieleniły się gęsto wschodzącym zbożem; 4 pogodne, choć blade jeszcze słońce wiosenne gdzieniegdzie rzucało złotawe po zagonach smugi, a jakby zwabione blaskiem i ciepłem jego skowronki wlatywały spomiędzy niskiej, lecz bujnej runi i wznosząc się prostopadłym lotem, śpiewały srebrzyste piosenki. W dali, pod lasem, szarzało kilkanaście pługów orzących ziemię pod wiosenny zasiew, a od strony dworu, ukazującego się spomiędzy niezupełnie jeszcze pokrytych liśćmi drzew, dochodziły tłumione przestrzenia głosy i rozmowy krzątających się zapewne koło dworskiego gospodarstwa ludzi.

Podróżny z zajęciem rozglądał się po okolicy.

#

Zmęczone długą snadź 5 drogą, konie postępowaly z wolna; powożący chłopak z zaspą fizjognomią ani myślał o ich napędzaniu; bryczka toczyła się powoli białą, ubitą drogą między dwoma rzędami starych wierzb i jarzębin.

W dali na polu ukazał się człowiek, szybkim i raźnym krokiem idący wąską śród zagonów miedzą i zręcznie przeskakujący rowy, dla ścieku wody wykopane gdzieniegdzie. Dążył ku drodze i po chwili, przeskoczywszy ostatni rów między polem a drogą, znalazł się tuż koło bryczki.

Był to smukły i piękny młodzieniec, w szarym myśliwskim ubraniu, w długim myśliwskim obuwiu, ze strzelbą na ramieniu, w małej czworogrannej czapeczce z czarnym barankiem.

Ujrawszy nadchodzącego, podróżny jadący bryczką zawołał na furmana:

- Stój, Jakubku!

Konie stanęły, a niemłody mężczyzna uchylił nieco czapki i wskazując ręką dwór o kilka staj położony, zapytał z grzecznością:

- Panie łaskawy, wszak to jest majątek hrabiny X., Adampol?

- Tak, panie - odpowiedział młodzieniec z lekkim ukłonem.

#

- A w tym dworze mieszka pan Snopiński?

- Tak, panie.

- Bóg zapłać - rzekł podróżny i skłoniwszy się młodzieńcowi, zawołał na furmana:

- Ruszaj, Jakubku, a żywo!

Bryczka oddaliła się, a młody myśliwy popatrzył za nią przez chwilę i rzekł do siebie:

- Kogoż to Pan Bóg prowadzi do nas? zdaje mi się, że kiedyś widział już tego pana... 6 kto by to był? To ciekawe, słowo daje; at! niech sobie tam zresztą ojciec przyjmuje gości, ja pójdę jeszcze postrzelać trochę. Oj, gdyby to gdzie kota nadybać, to bym palnął z fuzyki! Szkoda, że nie wziąłem z sobą chartów.

Tak do siebie mówiąc, zdjął strzelbę z ramienia, obejrzał nabój, pogwizdując, i poszedł dalej brzegiem drogi. Za ledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy na jednej z wierzb, ponad drogą stojących, z głośnym krakaniem usiadła wrona. Młodzieniec spojrzał w górę, uśmiechnął się i wziął fuzję 7 do oka. Wrona, nie przewidując grożącego jej niebezpieczeństwa, przechyliła się na gałęzi, podniosła dziób i wciąż krakała, jakby rozmawiając sobie z promykami słońca, który igrał na jej czarnych piórach i zaglądał do otwartego dzioba. Nagle strzał rozległ się i wrona nieżywa spadła z gałęzi. Młodzieniec poskoczył, podniósł ją, umocował przy torbie

myśliwskiej i poszedł dalej, gwizdząc jakiegoś marsza triumfalnego, 8, niby zwycięzca obciążony zdobytymi trofeami. Tymczasem bryczka z podróżnym wjeżdżała na obszerny dziedziniec adampolski. Tuż przed bramą

#

zerwało się sprzed koni stado gęsi i z wielkim krzykiem wleciawszy nad ziemią, osiadło nieopodal obok niemniej licznego stada indyków. Przewodnik ostatnich, olbrzymi jendor, spojrzął na wrzaskliwe sąsiadki, rozpuścił ogon i zabełkotał z pogardą. Jednocześnie zza domu wyskoczyły dwa psy kudłate i poczęły ujadać zawzięcie, podskakując ku bryczce. Na te wszystkie odgłosy, które z towarzyszeniem turkotu kół napełniły dziedziniec, przez jedno z otwartych okien domu wyrzała naprzód głowa kobieca i wnet się schowała; jakby wywołana przez nią, ukazała się w innym oknie głowa męska i także natychmiast zniknęła. Po chwili dopiero otworzyły się drzwi domu i na ganek wyszedł mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, średniego wzrostu, otyły, z potężną łysiną wśród posiwiałych włosów, z twarzą rumianą i poczciwą, ale nacechowaną szczególnym jakimś zafrasowaniem. Znać było, że tylko co włożył czarny surduty, który miał na sobie, bo jeszcze poprawiał i ociągał poły, co chwila niosąc też rękę do krawata, którego węzeł, z pośpiechem zawiązany, już się był prawie rozwiązał. Każdy by się domyślił, że dzierżawca Adampola robił umyślną a pośpieszną toaletę in gratiam przybywającego gościa.

Gdy bryczka stanęła przed gankiem, podróżny rzeško z niej wyskoczył i gospodarz domu postąpił na jego spotkanie. Spojrzeli na siebie i głośny wykrzyknik wyrwał się z ust obudwóch. 9

#

- Andrzej! - zawołał dzierżawca, a w głosie jego była prawdziwa i serdeczna radość.

- Jerzy! - odpowiedział przybyły.

I rzuciwszy się sobie w objęcia, poczęli całować się głośno a długo.

- Kopę lat, kopę lat! - wołał w przestankach całowania pan Jerzy. - Skądże Pan Bóg prowadzi? jakim szczęśliwym dla nas trafem zawitałeś w nasze strony? 1-10

- A dawno, dawno nie widziałem cię już, koleżko! 11 Z dziesięć już latek pono - odpowiedział pan Andrzej, uwalniając się w końcu od energicznych całusów dzierżawcy - no, ale widzisz, góra z górą nie zejdzie się, a człowiek z człowiekiem to i niespodziewanie zejść się może. 12

- Ależ, że niespodzianie, to niespodzianie! Pójdźcie do chaty! żona przecie nie wie, kto to do nas zawitał!

I wzięwszy pod ramię gościa, jak widać wielce mu miłego, poprowadził go dzierżawca adampolski we wnętrze domu. Z ganku obejrzał się raz jeszcze i zawołał do stojącego nieopodal parobka i z otwartymi ustami przypatrującego się pańskim powitanom:

- Konie wziąć do stajni i dać im obroku! Furmana zaprowadzić do kuchni i niech mu tam obiad dadzą!

W godzinę niespełna po tym serdecznym powita

#

niu, w obszernym pokoju, który urządzeniem swoim przypominał izbę szlachecką, ale okazywał zarazem i pretensją 13 do salonu, siedzieli oboje państwo Snopińscy i gość ich, pan Andrzej. Przed nimi stały na stole różne wiejskie przekąski i wódeczki, a z odsuniętych talerzy i opróżnionych kieliszków znać było, że funkcja gastronomiczna ukończoną już została. Gość i gospodarz siedzieli obok siebie. Obaj jednego wieku i patrzący wzajem na siebie z serdeczną przychylnością, różnili się jednak wielce między sobą nie tylko przez to, że pan Andrzej był słusznego wzrostu, barczysty, muskularny, ale nie otyły, a pan Jerzy niski i niepospolitej tuszy; nie tylko także przez to, że ostatni miał łysinę, a pierwszy jej nie miał, ale główną i uderzającą między nimi różnicę stanowiły cechy ich fizjonomii. 14 Czoło pana Jerzego było gęsto pomarszczone, ale zmarszczki jego układały się wszerek, jak zwykle u ludzi zaprzątniętych głównie i jedynie troskami materialnymi, ciągłym wywalczaniem powszedniego bytu; zmarszczki zaś pana Andrzeja, także liczne i głębokie, rysowały się na czole jego podłużnie, a najgłębsza z nich była między brwiami, jak to bywa u ludzi pochłoniętych umysłową pracą i dręczonych często ciężkim rozmyśleniem o szerokich ogólnych sprawach. W oczach gospodarza domu był wyraz dobroduszej poczciwości, z za której wyglądał frasunek, niby z nałogu już w nich osiadły; spojrzenie gościa było pogodne i życzliwe, ale gdy

#

przestawał mówić i zamyślał się, można w nim było dostrzec odcień smutku. Niekiedy szare i ogniste, mimo wieku, oczy jego odbiegały najbliższych przedmiotów i zdawały się patrzeć gdzieś 15 daleko, obejmować jakieś szerokie przestrzenie i widnokregi, a wtedy właśnie bywały najsmutniejsze.

Przyjrząwszy się pilnie obudwom 16 rówieśnikom, łatwo było odgadnąć, że pan Jerzy był człowiekiem, któremu całe życie przeszło wśród pracy na kawałek chleba, bez innej myśli jak o zasiewach, zbiorach i młóceniu, bez innych cierpień jak nieurodzaj lub gradobicie, bez innej radości jak niegdyś za młodu wesele z ukochaną Anusią, potem urodziny syna, a potem jeszcze lata, w których zboże dawało dziesięć kop z morga. Pan Andrzej zaś musiał być koniecznie jednym z ludzi, którym królestwo ducha we władanie 17 oddanym zostało, których myśl rada w tym królestwie mieszka.

Naprzeciw dwóch mężczyzn siedziała pani Snopińska, czterdziestoletnia kobieta, chuda, blada, z twarzą nic nieznaczącą i olbrzymim pękiem kluczków przy pasie. Na niej więcej jeszcze niż na jej mężu znać było gospodarowanie całego życia, nieokraszone ani jedną szczyptą poezji, nieogrzone ani jednym promieniem szerszej, ogólniejszej myśli. Sery, masło i mąka wypiętnowały na twarzy pani Snopińskiej prozaiczną i oschłą cechę, a postać jej, przybrana w czarny wełniany wąski szlafroczek i w biały czepeczek, który

niezupełnie zakrywał rudawe, gładko uczesane włosy, wyglądała tak, jakby wnet miała zmienić się w długi, zardzewiały i zgrzytający w zamku klucz do śpiżarni.

#

- No, kochani Państwo - odezwał się pan Andrzej - teraz, gdyście mię podróżnego nakarmili już i napioli, czas mi powiedzieć, w jakim celu przybyłem do was i skąd mi się wzięło na odbycie tak dalekiej podróży.

- To prawda - przerwał pan Jerzy - choć z duszy i z serca rad jestem cię widzieć, toć jednak oddziwować się nie mogę, skąd się tu wzięłeś. Jak z nieba spadłeś, dalipan, boć to mil chyba z pięćdziesiąt do twego majątku, w którym mieszkasz.

- Blisko tego, ale co to znaczy dla takiego zucha jak ja? - mówił, uśmiechając się, pan Andrzej. - Wszakżeż tą samą bryczką, którą tu przyjechałem, tymi samymi dwoma końmi i z tym samym furmanem Jakubkiem przed dwoma laty odbyłem podróż do Warszawy, ba! aż za Warszawę, bo pod same Karpaty.

Oboje gospodarstwo zawołali z podziwem:

- Czyż być może?

- Ot, choć krewniacy mi jesteście, nie wiecie jeszcze o moich dziwactwach. A właśnie z powodu tej mojej ciągłej po świecie wędrówki, niektórzy zowią mię dziwakiem i mają może słuszność, jeśli dziwactwem godzi się nazwać takie zamiłowanie czegoś

#

bez granic, że dla miłości, jaką człowiek w sercu czuje, gotów największe ponieść trudy. Otóż ja, kochani państwo Jerzowie, mam w sercu miłość taką dla nauki i natury. Jerzy zresztą pamiętać to musi od szkolnych jeszcze czasów...

- O, tak, tak - powiedział Snopiński - pamiętam, że w szkole ja byłem zawsze hultajem, a ty najlepszym z uczniów.

- Ale miałeś zarazem złote serce i dlatego, 18 nie licząc już związków pokrewnych, polubiłem cię tak, że stosunków naszych nie zerwał ani czas, ani różnica usposobień. Otóż lubiąc nad wszystko książki w dzieciństwie i pierwszej młodości, w wieku dojrzałym zacząłem je sam pisać.

- Wiem, wiem o tym - zawołał pan Jerzy - i zawsze szczyliłem się z tego, że krewny mój kolega pisze tak uczone książki, że ja i zrozumieć ich nawet nie mogę!

Zaśmiał się pan Andrzej z tego naiwnego wyznania dzierżawcy i mówił dalej: - Wiesz pewnie i o tym, Jerzy, że specjalne studia, jakim się oddaję, mają za przedmiot nauki przyrodnicze; kocham naturę, szukam jej wszędzie, jeżdżę po świecie dla zbadania jej różnych objawów, a potem piszę, com widział i czegom się w wycieczkach moich nauczył. Te to były cele, które zawiodły mię między Karpaty i nad Wisłę; w tych celach pojedą może w roku przyszłym dalej jeszcze; w tym także celu

#

przybyłem tutaj. Postanowiłem zbadać wszechstronnie florę krajową i dlatego zwiedzam kraj nie kolejną żelazną, ani pocztą, ale swymi powolnymi konikami, aby móc jechać z wolna, zatrzymać się, gdzie zechcę, i na każdym miejscu być panem mego czasu. Gdym przeszedł zimy postanowił zwiedzić tutejsze strony, miałem naprzód zamiar zainstalować się na kilka letnich miesięcy w waszym gubernialnym mieście, ale przypomniałem sobie, że mieszkacie tutaj, kochani państwo Jerzowie, i umyśliłem założyć u was kwatery, tym bardziej, że dla natury moich badań korzystniejszym będzie, jeśli zamieszkać na wsi. Nie będę ciągłym waszym gościem, bo mam do odbycia mnóstwo wycieczek w różne strony waszej prowincji, ale jeśli pozwolicie, będę stąd wychodził i tutaj powracał; co więcej, będę tu znosił wszystkie swe zdobycze, alias pęki ziela różnego rodzaju, albo też rysowane przeze mnie portrety drzew i kwiatów. Gdyby to jednak nie było wam zupełnie miłe i dogodne...

Nie dał mu skończyć pan Jerzy, bo pochwycił go w ramiona i zawołał:

- A! niech ci Bóg zapłaci za twoją myśl pocziwą! Bądź pewny, że rad ci jestem z całej duszy, a choć nie znajdziesz u nas zbytku ni przepychu, toć jednak czym chata bogata, tym ci serdecznie rada. Będę miał przynajmniej sposobność odwzięczenia ci choć w części tego, coś uczynił dla nas...

#

- Nie wspominaj o tym, Jerzy! - zawołał pan Andrzej. - Gdybym i chciał, zapomnieć nie mogę - odparł żywo Jerzy. - Wszak pamiętasz, Anusiu - dodał, zwracając się do żony - jak to tam na onej dzierżawie, którąśmy pod Kownem trzymali, grad wybił zboże, bydło wypadło na zarazę, stogi siana spłonęły na łąkach, a dziedzic nie miał względu na nasze nieszczęścia i chciał nas za nieopłacone pieniądze do sądu skarżyć; wtedy, Andrzej, gdyby nie twoja pomoc, poszlibyśmy z torbami...

Przy tych słowach łza zaćmiła pocziwe, lecz zawsze zafrasowane oczy pana Jerzego, a nawet fizjognomia 19 jego żony rozświeciła się jakby iskierką rozrzewnienia.

- Pamiętam dobrze tę wielką biedę naszą i pomoc pana Andrzeja - rzekła - toteż bądź pan pewny, że z całego serca radzi jesteśmy, iż pan u nas czas jakiś przepędzisz, a tym bardziej, jeśli to panu ma pomóc do napisania książki.

Widać było, że pani Jerzowa czuła się dumną z posiadania w domu swoim gościa, który książki pisze, a jeszcze, jak rzekł mąż jej - tak uczone, że ona by ich nawet zrozumieć ani potrafiła.

Po kilku jeszcze oświadczeniach i przypomnieniach dawnych czasów, z których pokazywało się widocznie, że pan Andrzej niejednokrotnie był wprze

#

szłości dobroczyńcą państwa Snopińskich, pan Jerzy zapytał: - Powiedźże mi, Andrzej, jak tam u ciebie idzie gospodarstwo, kiedy

tak ciągle jeździsz po świecie?

Uśmiechnął się pan Andrzej. Pomyślał pewno, że co u kogo w głowie, to i w mowie.

- W majątku gospodaruje średni syn mój - odpowiedział. - Wiecie o tym, że najstarszy jest inżynierem, najmłodszy jeszcze w akademii kształci się na doktora, a z trzeciego zrobiłem rolnika. Skończył on agronomiczną szkołę i od dwóch lat zwałem na niego cały ciężar gospodarstwa i przywiązanych do majątku interesów, a sam bez przeszkody oddaję się nauce i ulubionym po kraju wędrówkom.

- Szczęśliwy jesteś, Andrzeju, że masz syna, który cię w pracy wyręcza, przynajmniej na starość odpocząć możesz! - rzekł pan Jerzy z westchnieniem, a wyraz frasunku, który był normalną cechą jego 20 fizjognomii, zwiększył się przy tych słowach.

- O, tak! - 21 rzekł pan Andrzej - mam prawdziwą pociechę z synów. Wychowałem ich tak, aby oprócz majątku, jaki otrzymają po mnie, każdy z nich posiadał zawód, którym by i ogółowi był użyteczny, i sobie był niezależny własną pracą zapewnić.

Szybko jednak ocknął się z myśli swych pan Andrzej i, jakby sobie coś nagle przypomniał, zawołał:

- A gdzie jest twój jedynak, Jerzy? Widział

#

łem go, kiedy miał lat ośm czy dziesięć, i pamiętam, że ładne i rozropne to było dziecko. Gdzie jest teraz? czego się uczy? na co go kierujesz?

- A zaraz go zobaczysz - odpowiedział pan Jerzy - poszedł z rana ze strzelbą, ale pewnie zaraz nadejdzie.

- Jak to? więc jest w domu? 2-22 - zapytał pan Andrzej. - Czyżby był na wakacjach? Ależ to nie wakacyjna pora.

- Gdzie tam na wakacjach! - rzekł pan Jerzy, a frasunek zwiększył się w jego oczach - już cztery lata skończyło się, jak wrócił ze szkół do domu.

- Tak wcześniej skończył szkoły? to czemuż nie oddaliście go do jakiego wyższego zakładu naukowego, snadź 23 ma ogromne zdolności!

- Gdzie tam skończył szkoły! Przeszedł cztery klasy, a że nie chciało mu się uczyć, to i wziętem do domu.

- I cóż on tu robi u was, tak młodo osiadłszy w domu? - zapytał pan Andrzej.

Frasunek zwiększył się na twarzy pana Jerzego.

- Pomaga mi gospodarować - rzekł z cicha - ale wyraz jego oczu, smutny i zakłopotany, zadawał fałsz słowom.

- Hm! - rzekł pan Andrzej i zamyślił się.

- Proszę pana - ozwała się pani Snopińska - chłopiec ma rodziców i kawałek chleba, po cóż mu było cudze kąty po jakichś tam szkołach wycierać?

Pan Andrzej ze zdziwieniem na nią spojrział.

- Zapewne - odrzekł - sami najlepiej wiecie, jak kierować losem waszego syna; mnie się jednak widzi, szanowna pani Jerzowo, że kto za młodu tych cudzych kątów, o których pani mówisz, nie wyciera, ten potem na własny kąt zapracować sobie nie potrafi.

Pani Jerzowa brzęknęła kluczami i odpowiedziała:

- Toć już my dość napracowali się przez całe życie na to, aby nasze dziecko miało własny kąt i kawałek chleba bez pracy.

- Bez pracy... bez pracy... - powtórzył jakby do siebie pan Andrzej, a oczy jego znowu utkwily w przestrzeni i stały się smutne.

Pan Jerzy westchnął.

- At - rzekł - już też i ja wolałbym, aby chłopiec zajął się czymkolwiek, zamiast strzelać do wron po polach od śniadania do obiadu, a potem spać od obiadu do kolacji. Ale cóż robić, kochany Andrzeju? u nas, harujących na kawałek chleba, jak chłopiec czytać, pisać a rachować umie, to i chwala Bogu, a zresztą byle była ochota do pracy... byle była ochota...

- Ale czy będzie on miał tę ochotę, jeśli zaprawi się z młodu do bezczynności? - zagadnął pan Andrzej.

Pana Jerzego oczy bardzo zafrasowały się, ale pani Jerzowa rezolutnie brzęknęła kluczami i rzekła, kiwając głową:

- Et, byle poczciwie żył a Pana Boga umiał chwalić, to na co mu tam szczególniejsze mądrości i rozumy? Ot, przynajmniej mamy pociechę, że dziecko jest przy nas, między ludźmi żyje i świata się uczy. A chwala Bogu nie powstydzisz się za niego rodzicom! Pan Andrzej sam zobaczy. Jest czego posłuchać, kiedy mówi, i znaleźć się między ludźmi tak pięknie potrafi, że i hrabiątko jakie może się przed nim schować. Toteż łapią go tu w sąsiedztwie, na rękach noszą...

- Zresztą - przerwał żonie mowę dzierżawca - zresztą widzisz, Andrzeju, syn mój będzie miał jaki taki fundusz, niewielki wprawdzie, ale zawsze to coś znaczy. Ja żadnego nie miałem po rodzicach, którzy sami całe życie chodzili po posesjach i wszystko, co kiedy mieli, na starość stracili. Jak żeniłem się z Anusią, trzymałem pięć chat w dzierżawie, a mieszkiałem w kurnej nieledwie chałupie. A ot, przy pomocy Bożej wylazło się z biedy i uciułało trochę grosza dla jedynaka. Jemu więc łatwiej pójdzie, bo będzie miał za co ręce zacześcić, a ja nic nie miałem...

- Aleś miał ochotę i przyzwyczajenie do pracy - przerwał pan Andrzej.

- To, to prawda - potwierdził pan Jerzy.

- A musiał mieć ochotę do pracy! - zawołała pani Jerzowa - bo jakby jej nie miał, to by marł z głodu. A nasze dziecko nie umrze z głodu i bez pracy, to niech sobie za młodu świata użyje, zamiast ślęczeć nad książkami albo harować przy gospodarce jak parobek.

Pan Andrzej nic już tym razem nie odpowiedział, ale zamyślił się i spuścił głowę na piersi, a pan Jerzy, spojrzawszy w okno, zawołał:

- Ot i Oleś powraca!

Spojrzął i pan Andrzej i zobaczył idącego przez dziedziniec tego samego młodzieńca, którego był spotkał na drodze, zbliżając się do

Adampola.

- A - rzekł - tośmy się już widzieli z panem Aleksandrem; spotkałem go, jadąc tutaj, i rozmawiałem nawet z nim trochę; ale któżby w nim poznał teraz tego małego Olesia, którego przed dziesięciu widziałem laty!

- Wyrósł chłopiec jak dąb - rzekł pan Jerzy, a żona jego uśmiechała się z widocznym zadowoleniem.

- Już to, proszę pana - rzekła do gościa - choć jestem matką Olesia, ale śmiało powiedzieć mogę, że w całej okolicy nie ma piękniejszego kawalera. Toteż panienki szaleją za nim; gdyby chciał, mógłby choć dziś z każdą ożenić się! - dodała ciszej i z figlarnym wyrazem, który dziwnie odbił się na jej chudej i oschłej twarzy.

- Ożenić się! tak młodo! - zawołał ze zdziwieniem pan Andrzej - toć myślę, że ma zaledwie lat dwadzieścia.

- Dwudziesty pierwszy kończy, ale i cóż to szkodzi, że młody? wszak przysłowie mówi, że - Przepraszam was, kochana pani Jerzowo - rzekł pan Andrzej z uśmiechem - ale po starej znajomości ośmielę się powiedzieć, że przysłowie w drugiej swej części głupstwo mówi.

- Dlaczego? - zawołała gospodyni domu.

- Bo człowiek, nim się ożeni... 3- 25 - zaczął pan Andrzej, ale przerwał mu pan Jerzy.

- Już to co do żeniaczki - rzekł - i ja jestem za tym, aby Oleś jak najprędzej ożenił się. Jak przybędzie familia, to próżnować odechce się i niestatki z głowy wylecą.

- A jak nie wylecą? - spytał pan Andrzej, a pani Jerzowa nierada, że mąż powiedzeniem swoim dał do zrozumienia o jakichś niestatkach syna, szepnęła z niezadowoleniem:

- Niestatki! niestatki! jakie tam niestatki! nie ma żadnych niestatków!

W tej chwili otworzyły się drzwi pokoju, w którym rozmawiano, i wszedł syn gospodarza.

Urodziwy to był chłopak, w całym znaczeniu tego wyrazu. Smukły i kształtny, czoło miał białe, gładkie, foremne, oczy błękitne jak niezabudki, włosy niepospolitej piękności, złociste, kędzierzawe. Policzki jego, opalone nieco od wiosennego wiatru, pokryte były pierwszym puchem młodzieńczym, a nad pasowymi ustami porastał drobny jasny wąsik. Gdy patrzył, iskry zdawały się sypać z jego wzroku; gdy uśmiechał się, pokazywał zęby białe i równe, jakich by niejedna pozazdrościć mu mogła kobieta. Pięknej twarzy tej nie brakło nawet wyrazu pewnego sprytu i rozgarnienia, a także tryskała z niej niezmierna pełnia młodzieńczego życia, które zdawało się szukać sobie ujścia na zewnątrz i wybuchało każdym spojrzeniem oczu, każdym ruchem fizjonomii. 26.

Gdy wszedł do pokoju, w myśliwskim ubraniu, bez torby tylko i bez fuzji, pan Jerzy zwrócił się do gościa i wskazując młodzieńca, rzekł:

- Mój syn, kochany Andrzeju - a potem dodał: - Olesiu, oto pan Andrzej Orlicki, o którym nieraz od nas słyście, krewny nasz i dobroczyńca.

Z wyrazu twarzy młodego człowieka można było domyślić się, że ostatni wyraz niemile na nim sprawił wrażenie. Śpiesznie 27 jednak postąpił, podał rękę panu Andrzejowi i uklonił się zręcznie i z elegancją, tchnącą 28 jednak troszkę prowincjonalnością. Potem wziął krzesło i rezolutnie stawiając je obok gościa, usiadł i ozwał się swobodnie:

- Wszak to pana dobrodzieja właśnie miałem przyjemność spotkać przed dwiema godzinami na drodze do Adampola?

- Ależ bo długo byłęś dziś na polowaniu, Olutku - rzekła pani Jerzowa.

- Ho, ho, moja mamó! - zawołał młody człowiek - co to dla mnie znaczy? gdyby mi się jeść nie zachciało i gdybym nie pośpieszał, aby powitać pana dobrodzieja, choć go znać nie miałem honoru - dodał z eleganckim znowu i przesadzonym ukłonem - jeszcze bym godzin ze dwie popolował. A co w domu robić?

I zwracając się do pana Andrzeja, zawołał:

- Ach, nie przedstawiś sobie pan dobrodziej, jakie tu u nas życie nudne! gdyby nie fuzyjka, koń wierzchowy i...

- No, a cóż tam zabił dzisiaj? - przerwał pan Jerzy, w którego oczach frasunek rósł ciągle od wejścia syna - czy będzie przynajmniej z tego twego polowania pieczyście na kolację?

- Gdzie tam! - odparł Aleksander - teraz zwierzyny na lekarstwo nie znaleźć! Trzy wrony zabiłem i po wszystkim. Ale gdyby też papo widział, jak to było zabawnie. Idę sobie drogą, wtem widzę: 29 wrona siada na wierzbie; ja fuzją 30 do oka, a ona dziób do góry podniosła i kracze, jak gdyby kogo spod obłoków wołała. Ja paf! ona bęc! gdyby tchnęła, ale tak na miejscu i upadła nieżywa. Tak aż trzy zgładziłem dziś ze świata.

- I panu to zabijanie nieszkodliwych ptaków przyjemność sprawia? - spytał pan Andrzej, którego zmarszczka między brwiami głębszą się stała.

- Cóż robić, panie dobrodzieju? - rezolutnie odparł Aleksander - trzeba jakkolwiek czas zabijać. W sąsiedztwo nie zawsze można pojechać, w domu papa gospodaruje, mama gospodaruje, a mnie, panie dobrodzieju, co robić? chyba umrzeć z nudy!

Frasunek w oczach pana Jerzego wzmagał się coraz w czasie mowy syna; pani Snopińska wyszła, wywołana do jakiejś gospodarskiej sprawy, a pan Andrzej, po chwili milczenia, odezwał się żartobliwie:

- Uważam, panie Aleksandrze, że panu bardzo często wraca na usta wyraz: nuda.

Aleksander obu rękoma 31 uczynił gest rozpaczliwy i odrzekł:

- A, pan dobrodziej przybywasz zapewne z wielkiego świata i nie wiesz, jakie to u nas życie na prowincji! Człowiek np. wstaje z rana, zje śniadanie i obejrzy się wkoło siebie. Cóż widzi? 4-32 Papa w stodole, mama w spiżarni, parobki młóca, kury kwokczą, gęsi gęgają i koguty śpiewają. Wszystko to, razem wzięte, przyzna pan dobrodziej, nie jest wcale zabawnym. Więc człowiek chodzi z założonymi

rękoma 33 z kąta w kąt, z dziedzińca do ogrodu, z ogrodu na dziedziniec i czeka 34 obiadu jak zbawienia duszy, nie dlatego, żeby się jeść chciało, ale dlatego, że to zawsze jakaś rozrywka, urozmaicenie czasu, który wlecze się jak wóz naładowany po błocie.

Przychodzi obiad, 35 a po obiedzie, panie dobrodziej, znów to samo co i przed obiadem; człowiek czeka kolacji, a po kolacji to jeszcze gorzej: papa idzie spać, mama idzie spać, czeladź idzie spać i następuje brzęczenie i kąsanie komarów. Ot, jakie to nasze życie! a zimą to jeszcze gorzej... Ale po co to panu dobrodziejowi mówić, 36 pan sam pojmiesz, co to jest, kiedy młody człowiek tak zagrzebie się na wsi.

Westchnął ciężko i potrząsnął głową 37 dla odrzucenia z czoła opadających włosów.

Pan Andrzej przypatrywał mu się bacznie i nieznaczny wyraz ironii przebiegł po jego ustach.

- Hm - rzekł - więc dla rozweselenia tego życia, które pan w niepowabnych malujesz barwach, nic innego pan znaleźć nie możesz jak polowanie na wrony? 38

W głosie pana Andrzeja drżał dźwięk smutku i szyderstwa, dosłyszał go snadź 39, bo spuścił oczy i rzekł ciszej:

- Cóż robić?

Pan Jerzy milczał, w czasie rozmowy syna westchnął parę razy i splótłszy dłonie, dwoma wielkimi palcami rąk kręcił młynka z zafrasowaniem.

W drzwiach ukazała się pani Snopińska i zaprosiła na obiad.

Przy stole dzierzawca i gość jego rozmawiali o dawnych czasach, starych swych z sobą stosunkach i wspólnych znajomych. Jerzy stał się rozmowniejszym, zagrzany snadź 40 starym miodem, podanym do obiadu, i obecnością człowieka, którego widocznie serdecznie lubił; za to pan Andrzej mniej coraz mówił, spoglądał często na Aleksandra, a potem zamyślał się i oczy jego stawały się smutnymi. 41 Do stołu zasiadła także młoda panienka, jakaś sierota, przez miłosierdzie trzymana w domu państwa Snopińskich. Nazywano ją Antosią, pani Snopińska posyłała ją wciąż z kluczami; niebrydka była, ale blada i mizerna, ubogo ubrana, a oczy trzymała ciągle spuszczone wół ze smutkiem, wół z pokorą. Siedzący obok niej Aleksander pochylał się często ku niej i prawil jej coś półgłosem. Widać było, że z niej żartował, bo śmiał się ciągle, a żarty te nie musiały być miłe, bo Antosia rumieniła się co chwila po uszy, coraz smutniej spuszczała oczy, a gdy raz, zawołana przez panią Snopińską, podniosła je znad talerza, były w nich łzy.

Młoda, rumiana i przystojna dziewczyna, ubrana wół po wiejsku, przynosiła półmiski i odmieniała talerze. Aleksander zerkał na nią często, parę razy uśmiechnął się i mrugnął do niej oczyma na znak 42 jakiegoś porozumienia.

Zresztą mieszał 43 się często do rozmowy rodziców z gościem, wypowiadał zdania swoje śmiało, mówił głośno a śmiał się jeszcze głośnie.

Wtedy dopiero spostrzec można było, że wraz z wrodzonym sprytem i ciągłymi wybuchami wezbranego życia twarz młodzieńca nacechowana była, rażącą przy tak młodym wieku, śmiałością i pewnością siebie. Graniczyło to niekiedy z rubaszością, bo rozpiął się na krześle, z pretensjonalnym gestem gładził mały wąsik, jadł za dwóch, pił za czterech; zaraz u wstępu obiadu wychylił dwa kieliszki starki, a potem dolewał sobie miodu co chwila. 44

Pan Andrzej patrzył na to wszystko i zamyślał się coraz bardziej.

- Kogoż tu macie w sąsiedztwie? - spytał pana Jerzego, gdy służąca podawała ostatnią potrawę.

- Najprzyjemniejsze są dwa domy - odrzekł wnet Aleksander, nie dopuszczając ojca do odpowiedzi i odwracając się od Antosi, zarumienionej po uszy od konceptu, który 45 snadź tylko co jej powiedział - o, są tu 46 dwa domy bardzo przyjemne - mówił dalej. - W jednym z nich mieszkają państwo Siankowscy z dwiema córkami. Śliczne dziewczęta, słowo daję! Panna Ludwika blondynka, a panna Józefa brunetka. Na ostatnim zebraniu, które było u nich w czasie świąt wielkanocnych, panna Józefa cały wieczór tylko ze mną tańczyła, dała mi nawet na pamiątkę tego wieczoru gałązkę mirtową...

Pani Snopińska nachyliła się do gościa i szepnęła:

- Mówiłam panu, że panienki głowy za nim tracą! - a zwracając się do syna, dodała głośno:

- A pokaże nam, Olutku, tę gałązkę; czy masz ją przy sobie?

- A jakże, moja mamó! spoczywa na moim sercu! - zażartował Aleksander i wyjąwszy z kieszeni kamizelki malutki elegancki pugilares, wydobyl zeń uschlą gałązkę i podniósł ją w dwóch palcach z miną triumfującą.

- A co? - szepnęła gospodyni domu do gościa i zachichotała po cichu.

- Drugie przyjemne sąsiedztwo nasze jest majątek Piaseczna - mówił znowu Aleksander. - Mieszka w nim pani Karliczowa, wdówka, no, już nie pierwszej młodości, ale cudo kobietka, słowo daję! wesola, żywa i bardzo grzeczna, choć bogata. A oczki jakie ma! oh! o! w tych oczach wiele jest sekrecików, tylko dobrze przypatrzeć się trzeba. O jednym z nich ja wiem; 47 bardzo miły sekrecik, słowo daję.

I uśmiechnął się ze znaczącą miną.

- To tylko pewna 48 - ozwał się żartobliwie pan Andrzej - że gdybym był kobietą, nigdy bym panu nie dał żadnej pamiątki, ani powierzył żadnego sekretu.

- A to dlaczego, panie dobrodziej? 5-49 - zawołał Aleksander.

- Bo pamiątki pan pokazujesz, a o posiadaniu tajemnicy głośno opowiadasz. To trochę kompromituje damy.

Aleksander spuścił oczy i zarumienił się mocno; w tej samej chwili wstano od stołu.

W pół godziny po obiedzie pan Andrzej rzekł do gospodarza domu:

- No, kochany przyjacielu, ponieważ dość długo mam tu u was pozostać, przeznaczyłeś mi zapewne osobny kąt jaki. Zaprowadźże mnie do niego, bo chcę odpocząć po długiej podróży i list napisać do syna.

Pan Jerzy poprowadził gościa przez kilka pokojów ze szlachecką przybranych prostotą, a nawet po części gospodarskimi zarzuconych gratami, aż weszli na wąski kurytarz, z obu stron którego było po parę drzwi.

- Wybrałem dla ciebie, Andrzeju - rzekł gospodarz - najustronniejszy pokój; bo choć nigdy nie zajmowałem się pracą ksiązkową, wiem jednak, że wymaga ona cichości i odosobnienia. Do wszelkiego gospodarskiego ruchu 50 stąd najdalej, bo z jednej strony kurytarza są składy, a z drugiej pokój twój i Olesia. Ale, ale - dodał nagle - muszę też zobaczyć, czy chłopiec mój jest u siebie i powiedzieć mu, aby cicho się sprawował, bo będzie miał ciebie sąsiadem.

- O, proszę cię, Jerzy, nie krępuj dla mnie swego syna! - zawołał pan Andrzej; ale gospodarz otworzył już drzwi pokoju Aleksandra. W pokoju tym było kilka drewnianych stołków, pod ścianą stała tokarnia, dalej leżały różne przyrządy stolarskich robót, gdzieindziej kilka rozpoczętych koszyków z farbowanej łoży, 51 pod oknem był stolik, a na nim okrągłe lustro i dwie 52 wypróżnione butelki od wódki czy piwa. Między oknami, naprzeciw drzwi od kurytarza, 53 stało łóżko, a na nim leżał Aleksander, z twarzą zwróconą do sufitu. Oczy miał zamknięte i spał tak mocno, że słychać było nawet lekkie chrapanie.

Pan Jerzy spojrział, machnął ręką z niezadowoleniem i drzwi zatrzasnął. Potem wprowadził gościa do przeznaczanego mu mieszkania.

- Powiedz mi, Jerzy - zapytał po chwili pan Andrzej - co znaczą w pokoju twego syna te wszystkie tokarskie, stolarskie i koszykarskie przyrządy, które tam widziałem?

Snopiński znowu machnął ręką i odpowiedział:

- Et, kleci on tam coś czasem, toczy, hebluje albo splata; ale to, Boże odpuść, zdarza się raz w rok, około święta Wielkiejnocy.

- Czy ma zdolności do rzemiosł?

- I jakie! - rzekł pan Jerzy - jeżeli weźmie się do czego, to istne cacko robi, tylko że... at!...

Nie dokończył i oczy jego zafrasowały się mocno.

- To dziwna 54 - rzekł pan Andrzej - a do nauki zdolności nie miał?

- Gdzie tam! i do nauk miał zdolności, on do wszystkiego zdolności ma, tylko... ot, żal się Boże o tym mówić!

Jeszcze raz machnął ręką, westchnął i z bardzo zafrasowanymi oczyma, 55 pożegnawszy gościa, wyszedł. Pan Andrzej szerokimi krokami przechadzał się po pokoju. Smutny był i jakby trochę gniewny.

Pocierał ręką czoło i mówił niekiedy do siebie:

- Ale cóż? z rana do wron strzela, po obiedzie śpi, na nudy narzeka, kobietom ubliża i nic więcej! A zdolności jednak są, ale cóż po nich? Westchnął i pokiwał 56 głową smutnie.

[#NA PROWINCJI. POWIEŚĆ](#)

Kolo goni, koło dzwoni,

Aż pęknie i stanie:

Serce boli, myślą goni,

Aż i bić przestanie.

Bo przez różne progi, drogi

Kolo się potoczy,

Czyś bogaty, czyś ubogi

Śmierć cię w grób zatoczy.

Różne sprychy w mojem kole,

Różne życia chwile:

Różne szczęścia, różne bole 1

Ucichną w mogile. Pierwodruk utworu w Obrazkach z życia ludu wiejskiego dla szkółek wiejskich (Lwów 1850; tu jako wiersz bez tytułu, w obrazku Kwestarz), przedruk w Poezjach (Kraków 1861) pod tytułem Piosnka Kołodzieja - Orzeszkowa korzystała raczej z tego drugiego źródła, mimo nieznacznie zmienionego tytułu oraz drobnych różnic interpunkcyjnych. Wanitatywna tonacja wiersza (bez związku z pierwotnym kontekstem obrazka) mogła wynikać z dramatycznych doświadczeń życiowych Antoniewicza, wcześniej powstańca listopadowego i ojca rodziny, który wstąpił do zakonu po utracie w ciągu siedmiu lat żony oraz pięciorga dzieci. W tekście wiersza ze względów eufonicznych zachowano przestarzałą formę fleksyjną mojem.

(Pieśń Kołodzieja)

[# CZĘŚĆ I](#)

Ci, którzy dowodzą, że bez pracy i trudu dojść

do czegokolwiek można, podają ludziom

trucizną". 2

(Benjamin Franklin) Dokładnie tak brzmiącego cytatu nie udało się zlokalizować (zob. też: B.K. Obsulewicz, J. Lekan-Mrzewka, Motta Orzeszkowej i Konopnickiej, [w:] Dwie gwiazdy Dwie gwiazdy, dwie drogi. Konopnicka i Orzeszkowa – relacje różne, red. E. Ilnatowicz, E. Paczoska, Warszawa 2011, s. 308–309); pisma Franklina zawierają wiele sformułowań w tym rodzaju, wysławiających moralną i ekonomiczną wartość pracy.)

#II Szlachcic zagrodowy O trzy wiorsty od Adampola, tuż obok kopców granicznych, odznaczających grunta hrabiny X., dzierżawione przez pana Snopińskiego, zielenił się śliczny gaj brzozowy i dębowy, mający rozległości kilkanaście najwięcej morgów. Gaj ten miał tę szczególność, że z obu stron swoich tworzył dwa półkola, jakby wielkie altany, otwarte na szeroko rozciągające się pola i łąki. W każdej z tych altan, utworzonych przez naturę czy może ręką ludzką, stał dworek szlachecki z szarym domem o sześciu czystych oknach od frontu, z owocowym ogrodem, kilku gospodarskimi budowlami i dziedzińcem, otoczonym porządnym płotem z ostrokołów. Dwa te dworki, rozdzielone z sobą całą przestrzenią kilkunastomorgowego gaju, były tak podobne do siebie, jakby to jedna stawiała ręką. Cała różnica między nimi zachodziła w tym, że jeden z nich patrzył na północ, drugi na południe, i że w jednym z nich, wyraźnie w tym, który ku południowi był zwrócony, budowle gospodarskie były nieco większe i ogród rozleglejszy, co oznaczało większą rozległość należącego doń folwarku. Gdyby poeta jaki, z myślą do zachwytu łatwą, został nagle przeniesiony w to miejsce, uradowałby się niezawodnie wielkimi, choć skromnymi pięknosciami natury, które w nim panowały, mianowicie o wczesnej wiosennej porze roku. Poważna, uroczysta cisza zalegała ledwie rozzielenione pola, a przerywało ją tylko brzęczenie owadów, które w licznych rojach unosiły się nad łąkami i kąpały różnobarwne skrzydła w potokach słonecznych promieni. Niekiedy spomiędzy zagonów zrywał się skowronek i nucąc srebrną piosenkę, 57 wznosił się prostopadle w górę, aż rozpląnął się pod niebem w ledwie dostrzegalny punkcik szary. Niekiedy także na wysokiej kępie, sterczącej wśród łąki, albo na spróchniałym pniu dawno zrąbanej wierzby stanął pstrokaty bocian i zaklekotał donośnie, a klekotaniu jego odpowiadał od strony któregoś 58 z dworków cichszy, bo stłumiony przestrzenią klekot bocianicy. Pod zieloną ścianą gaju białe, żółte i szafirowe motyle jak skrzydlate obłoczki podnosiły się spomiędzy trawy, osiadały 59 na młodziuchnych listkach brzozowych albo na gałęziach dębiny, po chwili zrywały się z listków i gałęzi, unosiły się wysoko aż do szczytów drzew i spuszczały się znowu ku ziemi, łącząc się, rozdzielając, goniąc i opadając znowu w trawę. Ale w gaju dopiero, w samej głębi jego, wrzało najgęstsze, najbardziej rozbudzone i rozmaite życie natury. Roje ptastwa szczebiotały tam na wyścigi, dzieciół wystukiwał sobie robaczki w konarze starego dębu, kukułka figlarnie odzywała się z zarośli, wiewiórki skakały po drzewach, puszystymi kitami wstrząsając gałęzie, u dołu zielony mech drżał, poruszany odbywającą się wśród niego robotą mrówek. Pomiędzy tym wszystkim słońce, przeciskając się przez gąszcz leśną, rzucało gdzieś szerokie smugi jasności, gdzie indziej migotało wąskimi nićmi lub oderwanymi iskrami światła, gdzie indziej jeszcze zostawiało w półcieniu całe przestrzenie, osłonięte grubymi pniami i rozłożystymi gałęziami, pokryte różowym wrzosem i zapełnione szelestem uścielających gniazda ptaków, brzęczeniem szukających pokarmu owadów i fruwaniami różnobarwnych motyli. A z góry, poprzez szczyty drzew, zaglądały błękitne i białe kawałki obłoków, jakby ciekawe spojrzeć w tę głąb cienistą, w której ruszały się 60 miliony drobnych, śpiewających i kochających się na wyścigi istot, w której spomiędzy trawy wykwiłał błady nieśmiertelnik żółty, podnosiły się dzwonki liliowe, albo wśród mchu pąsowały lśniące grona żórawin. Tą cichą, a jednak gwarną, prostą, bezdennie głęboką sielanką przyrody otoczone były dwa dworki szlacheckie, stojące w dwóch wklęsłościach gaju. Patrząc na nie, jak niskie, szare, ale czyste stały tam między trzema ścianami zieleni i jedną stroną niby wielkim oknem patrzyły na równinę pól i łąk, trzeba było pomyśleć, że mieszkańcy ich, wykołysłani urokiem wiejskiej i nieprzeinaczonej sztuką natury, musieli koniecznie w sercach swych wyhodować również prostą a wdzięczną poezją, 61 również skromną w swych objawach, a pełną życia głębią uczuć. Obok tej poetycznej, znać jeszcze było wokoło obu dworków wysoko podniesioną praktyczną i realną stronę życia. Otaczające je grunta uprawne były wzorowo 62 i z niezmierną starannością, nigdzie w okolicy nie dawały się widzieć zagoni tak równo i pulchno zorane, rowy tak we właściwych wykopane miejscach, łąki tak oznaczone i oczyszczone z zarośli. Na łąkach tych pasły się trzody bydła i owiec, nieliczne wprawdzie, ale pięknej rasy i wybornie utrzymane; a wiejskie wyrostki, co je pasły, nie miały 63 wychudzonych i zaspanych twarzy, a na sobie brudnej lub obdartej odzieży, ale w czystym i całym ubraniu, z rumianymi policzkami i wesołym wzrokiem, biegały 64 po łąkach, goniąc się i swawoląc. Niejeden z nich siadywał na kępie i otwierał elementarzyk z malowanymi obrazkami albo książkę do nabożeństwa i spoglądając często na powierzone sobie stada, czytał półgłosem lub nucił pobożną piosenkę. W ustroni tej, wszędzie, gdzie spojrzeć mogło oko ludzkie, widać było jakąś rękę umiętną i opatrzną, która rządziła wszystkim. Od szarych, jednostajnych domów dwóch dworków, od twarzy ludzkich, które przesuwają się w ich pobliżu, aż do każdego zagona gruntu, do każdej zrównanej kępy na łące, wszystko tam tchnęło ładem, wdziękiem, starannością. Jak przy pierwszym spojrzeniu na tameczną naturę można było przypuścić, że dworki te posiadają serca poetyczne i głębokich uczuć pełne, tak przyjrząwszy się panującemu tam porządkowi, trzeba było pomyśleć, że oprócz serc poczciwych musi tam być i umysł jakiś jasny a wytrwały, który pojął wysokie zadanie człowieka: udoskonalania wszystkiego, z czym się styka, 65 i choćby z drobnej otaczającej go sfery wyciągania wszelkich możebnych korzyści dla siebie i świata. Pewnego kwietniowego ranka, z jednego z dworków tych, tego właśnie, który frontowymi oknami patrzył na północ, parę godzin przed południem wyszedł młody jeszcze mężczyzna. Zwyczajem pilnych gospodarzy starannie zamknął za sobą wrota dziedzińca i poszedł drogą, wiodącą ku polom i obsadzoną młodymi topolkami. Potem zwrócił się na miedzę, biegnącą wzdłuż gaju między zagonami bujnie wschodzącego żyta. Szedł z wolna, z rękoma 66 w tył założonymi, w szarym ubraniu z prostego sukna, w gospodarskim obuwiu i okrągłym słomianym kapeluszu; średniego 67 wzrostu i szerokich ramion, twarzy ogorzałej, ozdobionej ciemnym bujnym wąsem, 68 z ubrania i powierzchowności wyglądał na zamożnego zagrodowego szlachcica. Zaledwie uszedł na

miedzy kilkadziesiąt kroków, gdy nagle, tuż prawie spod stóp jego, zerwał się z zagonu skowronek, uniósł się parę łokci nad ziemię i zaśpiewał. Mężczyzna, jakby lękając się krokami swymi spłoszyć ptaszka, stanął i patrzył. Skowronek śpiewał ciągle i prostopadłym lotem wlatywał coraz wyżej, mężczyzna ścigał go wzrokiem. W końcu ptaszyna wzniosła się bardzo wysoko i zniknęła prawie pod obłokami, tylko śpiew jej srebrzysty i donośny dochodził z dali do pól pograżonych w cichości, a człowiek, straciwszy ją 68 z oczu, spuścił głowę i nie szedł dalej, ale stał z założonymi na piersi rękoma, 70 pograżony w zamyśleniu. Czyżby w zamyślenie to wprawił go widok i śpiew drobnego ptaszka? Kto by jednak wnosił z prostego ubrania i nie mniej prostej powierzchowności jego, przypuściłby raczej, że szlachcic hreczkosiej myśli o tym, ile z każdego morga będzie miał tego żyta, wśród którego stoi. Ale dłaczegóż zadumał się on wtedy dopiero, gdy spod stóp jego wleciała wiosenna ptaszyna i spod obłoków słała mu wdzięczną piosenkę swoją? Zamyślenie to było skutkiem głębokiego poczucia natury, nieprzytępionego 71 nawet codziennym z nią obcowaniem? Albo może odbiła się w nich rzewna poetyczność serca, okrytego szarym i grubym odzieniem? Bądź co bądź, to pełne zachwytu przypatrywanie się lotowi skowronka i to zapadnięcie w zadumę niepozornie wyglądającego mężczyzny widział człowiek, który w tej samej chwili wychylił się zza skraju lasu, stanął także i bacznie przypatrywał się stojącemu wśród pola szlachcicowi. Był on czarno ubrany i trzymał pod ramieniem dużą tekę, jaką noszą ze sobą podróżujący uczeni lub artyści. Teka ta, okrągły popielaty kapelusz, całe ubranie, zastosowane do pieszych wycieczek, i posiwiące włosy wyglądające spod kapelusza nadawały mu w istocie postać poważnego turysty. Postąpił kilka kroków; szelest, jaki uczynił, obudził z zamyślenia człowieka w szarym surducie; podniósł on głowę i obaj 72 spojrzeli na siebie: szlachcic z lekkim zdziwieniem, turysta uprzejmie i życzliwie. Obaj machinalnie prawie podnieśli ręce do kapeluszy 73 i skłonili się sobie wzajemnie. - Przepraszam pana - odezwał się nadchodzący - czy nie możesz mi pan powiedzieć, jak daleko znajduje się od Adampola? - O dobre trzy wiorsty, które nawet czterema 74 nazwać by można - odpowiedział szlachcic. - A! - zawołał turysta z rodzajem zakłopotania - nie spodziewałem się odejść tak daleko, ale przypadkiem zbłądziłem! - Pan pewno pierwszy raz jesteś w tych stronach? - spytał szlachcic. - Tak - powiedział przybyły - przyjechałem w te strony w celu odbycia kilku naukowych wycieczek i locum standi 75 mam w Adampolu. Gdy to mówił turysta, szlachcic powtórnie uchylił nieco kapelusza. - A! 76 - rzekł - dziękuję przypadkowi, który w ustroni tej dał mi poznać człowieka podróżującego w tak szlachetnym i pożytecznym celu. 77 Słowa te i dźwięk, jakim były wypowiedziane, odbiły się od prostaczkiej postaci szlachcica nie mniej dziwnie jak uprzednia poetyczna zaduma, w którą 78 go wprawił widok i śpiew skowronka. Toteż mężczyzna z teką spojrział nań z zajęciem i odrzekł: - Uważałem przed chwilą, że i pan lubujesz się naturą, którą ja z naukowego badam stanowiska. Z taką przyjemnością zdawałeś się pan słuchać pieśni skowronka i patrzeć na lot jego! Szlachcic nie zmieszał 79 się bynajmniej tym spostrzeżeniem przybyłego, uśmiechnął się tylko i odpowiedział z prostotą: - Tak panie, kocham naturę we wszystkich jej przejawach, bo ona jest towarzyszką moją od lat dziecięcych 80 aż dotąd. Ona była świadkiem wszystkich prac i pociech mego życia, a także i cierpień, których podobno żadnemu nie braknie 81 człowiekowi. Każda pora roku sprowadza mi mnóstwo przypomnień, każdy kawałek pola, ptak, roślina, drzewo niemal każde są mi znajome niby rodzeństwo, z którym się zhodowało pod jednym dachem. Pan zapewne uczysz się poznawać naturę, a może i innych znajomości tej nauce; ja czuję ją i kocham. Im więcej szlachcic mówił, tym zwiększało się zdziwienie turysty. Przypatrywał się mu coraz uważniej. - Pan zapewne jesteś właścicielem jednego z tych folwarków, które się tu pod gajem znajdują? - spytał po chwili. - Tak, panie, oto mój dom - odparł szlachcic, wskazując dworek o kilkaset kroków odległy i szybko dodał: - Ale jeżeli pan dziś opuścicie Adampol, musiało to być chyba bardzo rano, a ponieważ błdziłeś, musisz być porządnie zmęczony. Może pan przyjmiesz u mnie gościnność, choć na godzin parę, dla wytchnienia i posiłku? - Z przyjemnością przyjmuję uprzejme zaproszenie pana - grzecznie i z wyraźnym zadowoleniem odrzekł turysta - tym bardziej, że badając roślinność stron tutejszych, rad też będę poznać ich mieszkańców. Szlachcic skłonił się lekko i już usunął się dla zostawienia gościowi swemu pierwszeństwa 82 na wąskiej miedzy, gdy ten wyrzekł żywo: - Ale ponieważ miły dla mnie traf sprowadził nas tu razem i będę gościem pańskim, trzeba przecież, abyśmy wiedzieli wzajem, jak się nazywamy. Jestem Andrzej Orlicki. - A! - ze zdziwieniem i radością zawołał szlachcic - więc pan jesteś tym znanym powszechnie i tak pożytecznie pracującym przyrodnikiem 83 naszym, którego prace i nam prostakom pomagają znać i miłować naturę! Serdecznie, bardzo serdecznie witam pana na progu mojej zagrody. Nazywam się Bolesław Topolski. To mówiąc, jakby przez głębokie uszanowanie dla nauki i pracy człowieka, którego miał przed sobą, zdjął całkiem kapelusz i wyciągnął rękę ku swemu nowemu znajomemu. W tej chwili dopiero, gdy przez zdjęcie kapelusza odsłoniła się górna część twarzy zagrodowego szlachcica, pan Andrzej mógł przyjrzeć się głównym cechom jego fizjonomii. 84 Była to twarz, która na pierwszy rzut oka nie odznaczała się niczym, ogorzała i pospolitych rysów. Gdy nic nie mówił i oczy miał spuszczone, nikt by ani chwili nie myślał mu przypatrywać się i tysiące osób mogłyby 85 przejść koło niego, nie spojrzawszy nań inaczej jak mimochodem. Ale gdy podniósł wzrok, zwracał na siebie koniecznie uwagę każdego, kto nań patrzył, bo miał takie spojrzenie, jakie rzadko spotkać można u ludzi jego stanu. W dużych szarych oczach jego była niepospolita głębia dobroci i myślącego spokoju, zza których wpływała chwilami nieokreślona jakaś rzewność, niby odbłask tajonej, a może i nieświadomej siebie poezji serca. Czoło miał dość wysokie i bielsze od reszty twarzy, włosy ciemne, krótko przystrzyżone, usta bardzo zwyczajne, trochę nawet za 86 wypukłe i niezupełnie kształtne, gdy milczał, ale gdy mówił lub uśmiechał się, nabierały one wyrazu tej samej dobroci, jaką miały oczy, i układały się w pewne zagięcia, znamionujące moc i męskość charakteru. Miał też niezwykajny uścisk ręki, ciepły, silny i jakby nieco drżący. Kiedy w uścisk ten ujął rękę czyją, zdawało się, że mu w dłoń przechodziły tętna żywo uderzającego serca. Wszakże oprócz spojrzenia, wyrazu ust i uścisku ręki, wszystko w powierzchowności jego było pospolite i bynajmniej niezajmujące. Nigdy by powierzchowności swoją nie mógł zwrócić na siebie oczu pięknej kobiety, a wszyscy, którzy go mijali, nie widzieli w nim najczęściej nic, prócz poczciwego może prostaka. Ale niekiedy, nagle,

jakby promień przesuwiał się po jego twarzy i postaci, w oczach błyskała myśl, w uścisku dłoni zadrgało serce i każdy, kto go miał za prostego pocziwca, dojrawszy promień ten, odstępował ze zdziwieniem i mówił sobie: „Nie spodziewałem się!”. Ten promień duchowy, przenikający niekiedy na zewnątrz przez oczy, uśmiech i uścisk ręki Bolesława Topolskiego, nie mógł ująć uwagi pana Andrzeja. Musiał także powiedzieć sobie: „Nie spodziewałem się!”, bo z niezmiernym zajęciem przypatrywał się swemu towarzyszowi, gdy, zszedłszy z wąskiej miedzy, szli obok siebie drogą ku dworkowi wiodącą. – Jakąż wzorową uprawę pól widzę tutaj! – rzekł pan Andrzej, puszczając spojrzenia po długich, wąskich, wypukłych i jakby ręką ludzką usypanych zagonach – Czy wiesz pan, że rzadko w kraju naszym zdarzało 87 mi się napotykać tak umiejętnie i starannie urządzone gospodarstwo. To istny holenderski ogród! – W istocie – odpowiedział Bolesław – robię wszystko, co mogę i umiem, aby niewielki kawałek gruntu, jaki posiadam, podnieść do najwyższej możebnie wartości. Czynię to i dla własnej korzyści, i z przekonania, że każde pojedyncze wysilenie, jakkolwiek odosobnione, każda praca, jakkolwiek w małym nięta obrębie, skoro tylko umiejętna jest i wytrwała, może choćby drobne ziarenko dorzucić do ogólnego pożytku. – Dawnoż pan mieszkasz tutaj? – spytał pan Andrzej, którego zajęcie wzrastało. – Urodziłem się w tej zagrodzie – odrzekł Bolesław – a w dziedzictwie otrzymałem ją po ojcu przed ośmiu laty. – A więc musiałeś pan już otrzymać po ojcu folwark ten w tak pięknym stanie? – Niezupełnie. Ojciec mój rzadko i tylko przy końcu życia swego w nim mieszkał, bo całą młodość i część dojrzałego wieku spędził na wojaczce, która go prowadziła po odległych krajach. Był on we Włoszech, w Hiszpanii, na San Domingo i w Algierze, a gdy wrócił do ojczyznej zagrody, przywiózł z sobą bogaty w doświadczenie i wiadomości umysł, ale ciało osłabione ciężkimi trudami, jakie ponosił, i niezdolne już do pracy fizycznej, wymagającej ruchu i energii. Matka moja, święta domowymi cnotami, umarła wkrótce po jego powrocie; ja miałem wtedy lat piętnaście. Folwark nasz w niezmiernie opłakanym naówczas był stanie; znać w nim było wieloletnią nieobecność gospodarza. Ojciec mój w części tylko mógł temu zaradzić i tego tylko dokazał, że małą majątność naszą od zupełnej uchronił ruiny, ale podnieść jej 88 i udoskonalić sterane nie dozwoliło mu zdrowie. Natomiast zajął się mną z całym zapalem duszy, nieostudzonej długim tułaczem 89 życiem, z całą miłością ojca, który pragnie w syna swego przelać samego siebie. Uczyl mnie, a nauczyć mógł wiele, bo sam z otwartymi oczyma 90 ducha po świecie wędrował; najbardziej jednak, najusilniej zaprawiał mnie do pracy, do pracy rąk i myśli, ciała i ducha, bo, jak powiadał, obie są również cenne i pożyteczne i obie powinny być ciągłymi towarzyszami życia prawdziwie uczciwego człowieka. Wpływał on na mnie niezmiernie, mocą swej nieograniczonej dla mnie miłości i urokiem męskiej, jędrnej poezji, której pełne było jego rycerskie serce, a która z wolna zdawała się sączyć i przelewać w moje. Mając lat dwadzieścia, czynnie już zająłem się gospodarstwem; zrazu była to praca ciężka, mozolna, taka, która wymaga uczestnictwa własnych rąk, budzi przed wschodem słońca i zaledwie parę godzin wieczornych zostawia do 91 porachowania się z własnymi myślami. Ale rażno mi było i ochoczo pracować pod ojcowskim okiem, z myślą, że mu na stare lata daję opiekę młodego ramienia i byt wygodny zapewniam. Zdarzały się różne przeciwności, nieurodzaje, upadki bydła; ale wszystko to przeniosło się jakoś i naprawiło, dzięki Bogu, i miałem tę najwyższą pociechę, że ojciec mój ostatnie lata swoje przeżył w nowo zbudowanym i wygodnym, choć małym dworku, który stanął na miejscu starego, na wpół rozwalonego, i że te ściany, w których prawdopodobnie życie całe przepędzę, słyszały jego dziękczynne i gorące błogosławieństwa, jakie przed zgonem na moją głowę zlewał. Przestał na chwilę mówić Bolesław i twarz jego pokryła się szybko stłumionym wzruszeniem. Jakby chcąc pokryć wzruszenie to, uśmiechnął się wesoło, spojrzał na pana Andrzeja swoim głębokim, dobrym spojrzeniem i rzekł: – Ale uważam, że wpadłem na tor opowiadania panu mojej biografii. Daruj pan! to niezajmujące. Przypominam sobie, że słyszałem, jak ktoś, który tu u nas w okolicy za bardzo uczonego uchodził, utrzymywał, że nic bardziej nudnego nie zna jak wszelkie biografie. Pan Andrzej serdecznie na niego popatrzył. – Od kilku chwil zaledwie znam pana – rzekł – ale wybacz mojej otwartości, gdy powiem, że wzbudziłeś we mnie takie zajęcie, iż radbym, choćby przemocą, wdrzeć się w najdrobniejsze szczegóły twego życia. Skłonił głowę z podzięką Bolesław. – Pragnąłbym – odpowiedział – aby to zajęcie się mną pana obdarowało mnie z czasem jego szacunkiem i życzliwością. Co do szczegółów mego życia, są one bardzo zwykłe i powszednie. Folwark mój jest niewielki; jest to raczej zagroda szlachecka niż 92 folwark. Prowadzę w nim czteropolową gospodarkę, bo taka najlepiej przypada do natury gruntów. Na każdą zmianę mam po włóce ziemi, półtory 93 włóki łąki i tyleż prawie lasu; oto i całe moje bogactwo. Miałem przywiązane do ziemi tej trzy rodziny poddanych chłopów, ale ich uwolniłem zaraz po śmierci ojca, wskutek ostatniej woli jego, która się i z moją zgadzała. Odtąd zaprowadziłem parobczane gospodarstwo i przekonałem się, że takie, gdy tylko jest umiejętnie prowadzone, daleko więcej przynosi korzyści gospodarzowi niż przymusowa praca. Dziś otrzymuję z Topolina dochód taki, jaki gdzie indziej mają z majątków cztery albo i sześć razy większych od mego. Latem i jesienią pracuję bardzo nad rolą, zimą i wiosną mniej mam do czynienia z gospodarstwem, toteż zamykam się w mojej szarej kochanej chacie i staram się nie zatracić tego, co mi z dziedziny wiedzy pozostawił mój ojciec, 94 a może, przy pomocy Bożej, i dorobić się przybytku moralnego dobra, tak jak już dorobiłem się przybytku powszedniego chleba. Kończąc to mówić, Bolesław wraz z swym towarzyszem znalazł się na ganku swego domu i uprzejmym gestem wskazał wejście gościowi. Z widnej, czysto wybielonej i wymiecionej sieni pan Andrzej wszedł do jasnego, o dwóch oknach wychodzących na dziedziniec, pokoju. Podłoga w nim była z prostych desek, niemalowana, ale gładko ułożona i czysto wymyta; pod ścianą między oknami stała kanapa z żółtego jesionu, przed nią stół okrągły, pokryty serwetą pięknej i delikatnej roboty kobiecej. U okien były firanki z gładkiego białego muślinu, pod ścianami stały wyplatane żółte krzesła, na ścianach wisiało kilka niewielkich portretów znakomitych w dziejach ojczyznych ludzi, w prostych drewnianych ramach, malowanych czerwono z czarnymi kantami. Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju widać było łóżko ozdobione dużym, nieco spłowiałym dywanem, stolik z przyrządami do pisania i z kilku rachunkowymi oprawnymi księgami, kilka półek przy ścianie, napełnionych książkami różnych formatów, a nad książkami zawieszony na haku pęk wielkich kluczy, od

spichrzów snadź 95 i stodoły. Skromne było to szlacheckie mieszkanie, czyste, jasne i nieco surowe. Żadnych ozdób, nic w nim nie było miękkiego, wszystko tylko ściśle potrzebne, choć dostatnie. Klucze zawieszono nad książkami i książki stojące pod nimi na półkach zdawały się być symbolami mieszkania i żyjącego w nim człowieka. Dwie tylko były tam rzeczy, drobne, ale stanowiące sprzecznosc z surowością i pierwotną prostotą całego otoczenia: serweta na stole, wyraźnie kobiecą ręką pleciona z jedwabiu jak z nitki pajęczych, i doniczka na oknie z pięknie kwitnącym białym narcyzem. Te dwa przedmioty zdawały się mówić o kobiecie, tchnęły kobiecością, której zresztą śladów nigdzie więcej nie było. – Przepraszam pana, że opuszczę go na chwilę – rzekł Bolesław do gościa, gdy obaj weszli do mieszkania – pan jesteś głodny, a ja nie zapominam o tym, że jestem gospodarzem i że natrętnie prawie pociągnąłem pana do siebie. Rozkażę więc podać przekąskę, przyspieszyć 96 obiad i natychmiast służyć będę. To mówiąc, wyszedł, a pan Andrzej zaczął rozglądać się wkoło. Spojrzał w głąb sąsiedniego pokoju, którego drzwi na oścież były otwarte, a wiedziony ku książkom zamilowaniem uczonego, zbliżył się do nich. Półki zawierające księgozbiór Bolesława dzieliły się na dwie kondygnacje, przegrodzone 97 podłużną deską. Po jednej stronie były grube tomy, na których skromnej czarnej oprawie jaśniały imiona: Śniadeckich, Kołłątaja, Naruszewicza, Skargi, Lelewela i parę innych; po drugiej stały powieści i poezje, nowszych czasów przeważnie, a między nimi parę tomów Kochanowskiego, Krasickiego i Reja z Nagłowic. Pan Andrzej czytał tytuły książek i przyjemne zdziwienie wzrastało na jego twarzy. Wypadkiem rzucił spojrzenie na bok i ujrzał na niewielkim stoliku, umieszczonym przy łóżku, parę gazet i ilustracji polskich; pomiędzy nimi stał lichterz z niedopaloną świecą i można było odgadnąć, że nie dawniej jak dnia poprzedniego Bolesław, przed zamknięciem do snu oczu, 98 pisma te czytał. Leżały one nawet w nieładzie, świadczącym, że pilnie zajmowano się nimi. Pan Andrzej patrzył i zamyślił się, ale z zamyślonych oczu jego zniknął całkiem smutek, a ukazała się w nich błogość taka, jaką czuje człowiek, który widzi wcielającą się najulubieńszą ideę swoją. W zamyśleniu zdjął z półki jedną z książek, – była to korespondencja Kołłątaja z Czackim. Przerzucił ją pan Andrzej machinalnie prawie, gdy spomiędzy kartek wypadł kawałek cienkiego papieru. Podniósł go z podłogi i mimowolnie rzucił nań okiem; 99 kilka wierszy drobnym i wprawnym pismem było na tym papierze. Pan Andrzej sądził, iż są to notaty z poważnego dzieła, w którym się papier znajdował, i przeczytał: „Widziałem ją dziś, dobrą i piękną jak Anioł. W oczach jej było niebo dobroci, na ustach raj rozkoszy. Kobieta dobra i piękna to dla mężczyzny źródło, z którego on co chwila 100 czerpie szczęście i siły na surowe i pracowite życie. A taką jest ona. A ona będzie moją!”. Pan Andrzej uśmiechnął się i rzekł do siebie: – Niepotrzebnie to przeczytał, ale nie spodziewałem się, aby dwaj uczeni mężowie, 101 Kołłątaj i Czacki, byli powiernikami marzeń miłosnych. Włożył kartkę do książki i książkę postawił na półce. W tej samej chwili ozwał się obok niego wesoły głos Bolesława. – Uważam, że pana zajęła nieco biblioteczka moja. Połowa jej, ta mianowicie, która składa się przeważnie z dzieł minionych stuleci, dostała mi się po ojcu, drugą sam dokupiłem. Pan Andrzej podniósł wzrok i po chwili milczenia rzekł gorąco: – Daj Boże, aby syn pana, jeśli go kiedy mieć będziesz, tak samo snuł dalej pocziwą i rozumną myśl, która ukrywa się pod tą słomianą strzechą jak prawdziwa perła na dnie niepokazanej 102 muszli! Uśmiechnął się Bolesław i uściśnął rękę swemu gościowi. – Mało mojej zasługi jest we wszystkim, co pan dobrego lub rozumnego zobaczyć możesz w tej mojej zagrodzie. Od wieków było tutaj pocziwie i rozumnie, a ja ciągnę dalej 103 nic tradycji ojczystej przekazanej mi po przodkach, a bezpośrednio otrzymanej w spuściznie po ojcu. – O, tak! – odparł z przejęciem się pan Andrzej – trzeba być złym i bezrozumnym, aby pocziwej tradycji rodzinnej nie uszanować i nie uszlachetnić jej 104 własną pracą. – Pozwól, szanowny mój gościu – rzekł Bolesław – abym teraz zaprosił cię na prozaiczne pole powszednich potrzeb. Przekąska na nas czeka. To rzekłszy, wprowadził gościa do pierwszego pokoju. W chwili, gdy tam wchodzili, stary sługa o włosach i wąsach białych jak śnieg, o czerstwej twarzy 105 i szerokiej szramie na czole, stawał na stół, umieszczony przed kanapą, tacę pełną wiejskich przysmaków: wędlin, serów i litewskich nalewek. Bolesław zbliżył się do służącego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł do pana Andrzeja: – Przedstawiam panu pocziwego Krzysztofa, starego towarzysza broni mego ojca. Pan Andrzej przemówił kilka słów przychylnych do starego wojaka, który odpowiedział, kłaniając się z żołnierską i uśmiechając się pod wąsem: – Je parle français, mosie, j'étais sept ans en France, beau Paris! Zaśmieli się gość i gospodarz z tej improwizowanej francuzczyzny i z dobrym apetytem wzięli się do śniadania. W pokoju słońce szerokimi smugami złociło posadzkę, migotało po ścianach i opromieniało portrety wielkich mężów. Na dziedzińcu, naprzeciw jednego z otwartych okien, młody chłopak w siermiędze pasł dwa stajenne, młode, ale dobrze utrzymane koniki. Stał on na zrębie i wykonywał różne gimnastyczne sztuki dla pokazania swej zręczności przed dwiema 106 rumianami dziewczkami, które, o parę kroków od niego, prały bieliznę w wielkiej balii. Dziewczęta śmiały się do rozpuku, a chichotaniu ich towarzyszyło skrzywienie zórawia u studni i plusk wody, przelewającej się z wiadra do koryta. Na dziedzińcu wokoło wszystko tchnęło zielenią, świeżością, czynnym życiem, w pokoju panowała cisza i ład, a nieokreślona jasność wewnętrzna niby promienie silnego i spokojnego ducha okrywała twarz gospodarza, swobodnie rozmawiającego ze swym gościem. Pan Andrzej słuchał i patrzył na wszystko uważnie, w końcu rzekł: – Prawdziwie zachwycony jestem pańską ustronią. Kto tu raz zajrzał, może śmiało powiedzieć: „I ja byłem w Arkadii!”. Wiesz pan jednak, co mi na myśl przychodzi? Do uzupełnienia tej cichej poezji i pełni życia, jakie tu panują, braknie jeszcze kobiety, rozumie się kochanej, dobrej i myślącej. Bolesław nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i jakby mimowoli rzucił spojrzenie na doniczkę z narcyzem, a w oczach jego błysnął wyraz uszczęśliwienia. Czas upływał szybko, słońce już tylko parę godzin miało do zachodu, a pan Andrzej ani myślał o opuszczeniu szlacheckiej zagrody, która snadź 107 bardzo przypadła mu do serca. Już było po obiedzie, gość i gospodarz siedzieli na ganku, prowadząc ciągle rozmowę, która nabywała coraz więcej zajęcia i ożywienia. – Powiedz mi pan – rzekł pan Andrzej – kto mieszka w tym drugim dworku, co tam za gajem stoi, a tak podobny jest do tego, jakby obadwa 108 przez rodzonych braci postawione były? Na to pytanie pana Andrzeja nagły rumieniec oblał twarz Bolesława i pokrył mu nawet czoło. Z rumieńcem tym wyglądał on jak człowiek, który na chwilę zapomniał był

o czymś przejmującym na wskroś całą jego istotę, a ktoś 109 mu o tym nagle przypomniał i przypomnienie to, niby dotknięcie iskry elektrycznej, wstrząsnęło całym jego organizmem. Pohamował się jednak szybko i odrzekł spokojnie: - W dworcu tym, który się nazywa Niemenka, 110 mieszka pani Niemeńska, kobieta w wieku i wdowa, z synowicą swoją, panną Wincentą Niemeńską. Trzeba było bardzo nieprzenikliwego oka i ucha, aby nie dojrzeć wymownego spuszczenia oczu 111 i nie dosłyszeć szczególnego dźwięku głosu, z jakimi Bolesław wymówił ostatnie imię. Pan Andrzej nie należał do rzędu nieprzenikliwych, toteż uśmiechnął się nieznacznie, z przyjemnością popatrzył na Bolesława i ozwał się: - Pan zapewne często bywasz w Niemence? 112 tak bliskie sąsiedztwo... - O! bardzo 113 bliskie - odrzekł Bolesław - tym bliższe, że panna Wincenta jest moją narzeczoną. Wyrzekł to z uśmiechem, ale głos mu zdrzął i znowu nagły, pąsowy rumieniec pokrył twarz na mgnienie oka. W tym drzeniu głosu i w tych nagłych ognistych rumieńcach, pojawiających się przy wspomnieniu kobiecego imienia u tego mężczyzny skończonych lat trzydziestu i męskiej powierzchowności, odbiła się przedziwna świeżość i dziewiczość serca, ale zarazem trysnęła z nich luna płomienistej, namiętnej natury. Rozmowa po raz pierwszy przerwała się na chwilę. Bolesław spuścił wzrok i zamyślił się, jakby zapomniał o tym, co się działo koło niego; 114 pan Andrzej patrzył nań z baczną i życzliwą uwagą. - Tak więc - odezwał się - masz pan tylko krok jeden uczynić do ślubnego ołtarza. - Krok ten jednak dość długo trwać będzie - odpowiedział Bolesław - panna Wincenta bardzo młoda jest jeszcze, bo ma dopiero rok siedemnasty; 115 za wolą jej i jej ciotki, a także i wskutek własnej rozwagi, postanowiłem czekać rok jeden jeszcze, chociaż rok już także mija od czasu, jak jesteśmy zaręczeni. - Zapewne odłożyłeś pan termin ślubu swego dla lepszego wzajemnego poznania się z narzeczoną? - spytał pan Andrzej. - O, tego już nam nie potrzeba - żywo odparł Bolesław. - Ja znam pannę Wincentę od dzieciństwa, a okoliczności tak się składały, że od lat pięciu, tj. od pory, w której straciła ojca i została zupełną sierotą, bo matki nie miała już od dawna, widywaliśmy się codziennie prawie. 6-116 Zwłoka ta została postanowioną skutkiem uwagi, że lepiej jest zawsze, jeśli kobieta przyjmuje na siebie obowiązki żony i gospodyni, a może i mające wkrótce nastąpić trudy macierzyństwa, wtedy, gdy jest już w pełni rozwoju swoich sił moralnych i fizycznych. Zresztą ona tak chciała, a niech mię Bóg broni, abym przeciw woli jej miał przyspieszać 117 choć o jeden dzień spełnienie najgorętszych życzeń mego serca. - I panu to oczekiwanie nie wydaje się zbyt trudnym? - spytał pan Andrzej, przypatrując się silnemu rozplómieniu oczu, jakby elektrycznemu prądowi, który przebiegał po twarzy Bolesława, gdy mówił o narzeczonej. - Nie - odrzekł Topolski - widujemy się bardzo często, pewny jestem, że posiadam jej serce i że ją posiadać będę, a to mi wystarcza. Zresztą i terażniejszość daje mi tak wiele żywych radości, że gdybym był najpierwszym z poetów w świecie, nie wiem, czybym je wszystkie wypowiedzieć był zdolny. 118 - Sielanka, prawdziwa sielanka! - szepnęła do siebie pan Andrzej, a głośno dodał: - prawdziwie, jak słucham pana mówiącego mi o swej narzeczonej, zdaje mi się, że słyszę pieśń śpiewaną wśród pól i gajów, przy odgłosie fujarki pasterskiej i szmerze strumyka. Jakże bym pragnął widzieć narzeczoną pańską. - O, nic łatwiejszego! - z żywym zadowoleniem zawołał Bolesław, ujmując za obie ręce 119 swego gościa - to tak blisko, kilkaset kroków za ledwie, jeśli przez gaj pójdziemy. Jeżeli pan chcesz, możemy tam pójść natychmiast. Ja także będę bardzo szczęśliwym, mogąc pokazać ją panu, pochwalić się z nią... Rzekłszy ostatnie słowa z radością i dumą kochającego mężczyzny, Bolesław wstał z ławki i patrzył na swego gościa z niepokojem, jakby obawiał się, aby propozycja jego odrzucona nie została. - Hm - odparł, namyślając się pan Andrzej - będzie to trochę oryginalny postępek z mej strony, ale mam nadzieję, że znajome pańskie przebaczą turyście i staremu dziwakowi chęć poznania ich, jaką pan obudziłeś we mnie. Pójdźmy! Bolesław jednym skokiem wpadł do wnętrza domu i przyniósł gościowi swemu jego kapelusz. - Jeden jeszcze warunek, kochany mój i uprzejmy gospodarzu - rzekł pan Andrzej. - W Adampolu będą niespokojni o mnie, jeśli przed zachodem słońca nie wrócę; 120 - raczże tam posłać kogo z uwiadomieniem, że się tu znajduję i z prośbą ode mnie, aby dziś wieczorem przysłano tu moje konie po mnie. - O, na to ostatnie nie zgadzam się! 7 - zawołał Bolesław - gońca 121 z uwiadomieniem pošlę, ale koni nie trzeba, bo pan moimi odjedziesz, i nie dziś, ale jutro. Chcąc nie chcąc, musisz pan u mnie przenocować, 122 jesteś moim gościem, a po staropolsku gość to niewolnik, który nie ma prawa wyjechać, kiedy chce, ale kiedy gospodarz domu go wypuści, wymógłszy wprzód obietnicę, że prędko wróci do swego chwilowego więzienia. - Ha! - rzekł pan Andrzej - niechże i tak będzie. Miło mi i dobrze z panem, to i po cóż mam się wyrwać. Na żadną ekskursję i tak nie wybierałem się jutro. Uścisnęli się serdecznie, po prostu. W uściśnieniu tym nie znać było, że jeden z nich bogatym człowiekiem i sławnym w kraju uczonym, a drugi prostym zagrodowym rolnikiem. Braterstwo ducha szybko owinęło i połączyło tych dwóch ludzi, tak jak wonny powój owija i łączy jednymi sploty wspaniałe i cenny modrzew z pospolitym, ale silnym i szlachetnym dębem.